№ 12. Warszawa, dnia 9 (21) Marca 1885 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

TREŚĆ: Od Redakcyi. — Korespondencya z Paryża. — Wróć (wiersz). — Na drodze i bezdrożu, przez E. Zoryana (dalszy ciąg). — Różowy powozik. — Z pod naszej strzechy. — Przegląd literacki. — Wiadomości z kraju. — Wiadomości z zagranicy. — Od Redakcyi. W Dodatku: Mona Seully, przez autorkę „Molly Bawn”, przekład K. P. (arkusz 5).

OD REDAKCYI.

W przyszłym kwartale **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie. . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . . rs. 1 k. 25
Półrocznie . . . . rs. 2 k. 50
Rocznie . . . . . rs. 5

Adres: Do **J. K. Gregorowicza,** w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr 3.

☞ W następującym numerze, rozpoczynamy powieść historyczną Michała Jezierskiego, pod tytułem ***„Klemens Janicki”***, oraz obrazek Aleksandra Półkozica: ***„Święcone na cztery ręce”***. Nadto mamy przygotowanych na rok bieżący wiele prac literackich i beletrystycznych, z których wymieniamy tylko najnowszą powieść historyczną Walerego Przyborowskiego p. t. ***„Rycerz Mora”*** i obrazek Alberta Wilczyńskiego (Autora „Kłopotów starego Komendanta”) p. t. ***„I miejże tu rozum!”***

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

Teatr dzisiejszy. — Komedya les Deux Barbeaux. — Stuletni profesor Chevreuil. — Adam Prażmowski. — Nowy telefon D-ra Ochorowicza. — Gniazda autografów.

Zamierzyliśmy rozpocząć korespondencyą naszą od teatru, gdzież bowiem szukać wiernej odbitych rysów danego społeczeństwa, jeśli nie w dramacie lub komedyi? Tak było za czasów Moliera. Stworzone przez niego typy: lekarzy, mizantropów, pretensyonalnych pedantek, po upływie dwóch wieków, ukazują nam dotąd, jakby w zaklętem zwierciadle, żywe postacie z epoki Ludwika XIV. Inaczej dziś autorowie francuzcy, rozumieją sztukę dramatyczną. Za pomocą scenicznych sprężyn, z któremi doskonale obznajmieni, szarpią nerwy słuchaczów, olśniewają oczy efektami, odurzają zmysły blekotem, a co najgorsza, pokazując już nie usterki i śmieszności społeczne z jakich tak dowcipnie szydził Molier, ale gangrenę zagnieżdżoną w sercach, oswajają z widokiem złego, burzą sumienia, słowem rozsiewają truciznę.

Od początku tej zimy, ilekroć dzienniki zapowiedzą nową sztukę, czekamy jej niecierpliwie: może też, mówimy sobie, z tego odmętu w jakim tonie literatura, uda nam się wydobyć jakiś klejnot! Niestety! coraz to smutniejszego doznajemy zawodu. Dumas wystąpił z „Dyonizyą” i cóż w niej znajdujemy? Oto sztucznie przeprowadzoną tezę, że uczciwy człowiek nie ma prawa wglądać w przeszłość, ukochanej przez siebie panienki, ale jakikolwiek ciężyłby na niej zarzut, może śmiało wziąć ją za towarzyszkę życia i zacnem imieniem swojem przysłonić dawne plamy. Claretie występuje z księciem Zillah, tu przynajmniej spotkamy się z dzielnymi Madziarami, pohopniejszymi do szabli niż do salonowych skandalów. Smutne rozczarowanie! Bohaterką dramatu jakaś cyganka, awanturnica, szukająca szczęścia, nie na bruku paryzkim, ale w pałacu wyrafinowanej arystokratki.

Wczoraj właśnie przedstawiono w Odeonie Henryetę Marechal, dramat, który upadł za czasów cesarstwa, z powodu treści gorszącej, dziś z głośnym przyjęty oklaskiem. I któż jest owa Henryeta? Oto córka ugodzona kulą własnego ojca, wymierzoną w pierś występnej matki.

Wśród steku tych bezeceństw, znaleźliśmy jedyną sztukę o której wspomnieć warto. Mówimy tu o trzyaktowej komedyi Andrzeja Theuriet, pod tytułem „Les deux Barbeaux". Mniej tu autor nagromadził sztucznych efektów, prawda żadnym nie przyćmiona paradoksem; rzecz rozwija się po prostu, w warunkach zwyczajnych wziętych z codziennego życia; sztuka jednak wybornie odegrana, niemałe znalazła powodzenie. Tytuł jej tylko nie łatwy do spolszczenia. Nazwa Barbeaux, oznacza rybę morską, powszechną na wybrzeżach normandzkich, ale nieznaną u nas: w słowniku zwaną *boleń*. Dwie złote ryby tego gatunku, stały się herbowem godłem miasta Villotte. Owóż w tem mieście istnieje od lat kilkudziesięciu, skład materyałów aptecznych, pod takąż samą firmą. Właścicielami jego dwaj bracia German i Jacenty Lofroque. Obaj odziedziczywszy handel po ojcu; żyli w niezmąconej zgodzie, poczciwa ciotka prowadziła skrzętnie domowe gospodarstwo, dogadzając miłym bratankom. Pod jej troskliwą opieką, bracia nie spostrzegli nawet, że lata upływają, że szron przyprusza nieznacznie ich brody i ostrzega o ubiegłej młodości. Żaden z nich nie pomyślał o żonie; opieka ciotki całkiem im wystarczała.

W chwili, gdy się sztuka zaczyna, dwaj bracia opłakują tę poczciwą ciotunię. Z jej śmiercią wszystko przemieniło się w domu; po wzorowym porządku straszny nastąpił bezład. Bielizna nie sporządzona rozsypuje się w szmaty; rosół zimny, pieczeń zanadto przypalona. Stara sługa Katarzyna, zrzędzi i klnie na czem świat stoi. Słowem, dom cichy dotąd, stawiany w mieście za wzór porządku, przemienił się nagle w istne piekło.

— Tak dłużej być nie może — zawoła zniecierpliwiony German — potrzeba nam zmienić tryb życia.

— Lecz jak zaradzić złemu? — odpowie łagodniejszy Jacenty.

— Jak? ożenić się i koniec.

— Ale z kim?

— Mamy tu przecie krewną naszą, Laurencyą. Uboga dziewczyna, to prawda, lecz może to i lepiej, będzie nam wdzięczną, gdy jej los zapewnimy.

— Przecież nam obu żenić się z jedną niepodobna — zagadnie spokojnie Jacenty.

— Tyś starszy — odeprze smutno German—tobie należy się pierwszeństwo.

— Tyś młodszy — odpowie Jacenty — tobie raczej myśleć o żonie.

Ze strony Laurencyi, żadna nie zajdzie przeszkoda. Uboga sierota, niedawno zamieszkała z matką w miasteczku, pod opieką zamożnych krewnych.

Aby rozstrzygnąć rzecz sprawiedliwie, bracia postanawiają ciągnąć losy: imiona swoje zapisane na świstkach wrzucają w kapelusz; przywołują Katarzynę, stara sługa wyciąga imię Germana, z wielką jego radością, tajemnie bowiem wzdycha on do kuzynki.

Po akcie pierwszym, a raczej prologu, następuje małżeństwo. Ład na nowo odkwita w domu. Bracia uszczęśliwieni, zwłaszcza German, z pozoru niezgrabny, jak niedźwiadek, ale w gruncie poczciwy człowiek, pełen serca. Hoża Laurencya rozwesela progi domowe, gadatliwa jej matka, zajmuje się wraz z córką gospodarstwem. Wkrótce jednak wilk wkrada się do owczarni. W domu braci najął mieszkanie Ksawery Dupont, rozpoczynający zawód adwokata. Młodzian ten sztywnej i chłodnej powierzchowności, wkrótce pozyskał ogólne zaufanie. Chłód to pozorny: Dupont ścigał okiem hożą Laurencyą, kiedy jeszcze była panienką, dziś usiłuje zjednać sobie serce młodej mężatki. Ostrzeżony German, wypędza go z domu, grozi niebezpieczną pomstą.

Pod opieką dobrego Jacentego, nikczemnik ucieka potajemnie, wynosi się do dalekiego miasta. German przebacza żonie, łatwo mu przebaczyć, gdy całą jej winą brak taktu i szczypta próżności.

Komedya ta przerobiona z ładnej powieści Andrzeja Theuriet, jednego z nielicznych powieściopisarzy, który unikając scen skandalicznych, umie przecież być zajmującym.

* * *

Towarzystwo rolnicze, urządziło w Pałacu przemysłowym, doroczną wystawę płodów wszelkiego rodzaju, począwszy od różnych gatunków zboża, owoców i warzyw, do karmnego drobiu i rozmaitych machin i narzędzi rolniczych. Opis tej wystawy przechodzący ramy nasze, zostawiamy specyalistom. Powiedzmy tylko słówko o bankiecie wyprawionym przez członków, na cześć profesora Chevreuil, który w ciągu długiego życia, położył niezliczone zasługi w rozwoju przemysłu narodowego.

Chevreuil należy do fenomenalnych osobistości. Urodzony w roku 1786, zacznie za parę miesięcy setny rok życia. Ośmdziesiąt trzy lat temu rozpoczął zawód jako dyrektor laboratoryum w fabryce produktów chemicznych. Jeszcze za pierwszego cesarstwa, został preparatorem w Muzeum nauk przyrodniczych, a wkrótce potem profesorem w Lyceum i dyrektorem zakładu gobelinów. Wielką doniosłość jego prac i odkryć w dziale chemii zastosowanej do przemysłu, oceniła Akademia Nauk, przyznała mu bowiem w roku 1852, wielką nagrodę 12,000 franków za ważne odkrycia chemiczne, które według słów Jana Dumasa, przyniosły miliony Francyi. Podczas, gdy kraj pod wpływem gwałtownych przewrotów politycznych zmieniał raz poraz dynastye i systemata rządowe, Chevreuil pracował cicho w laboratoryum i przyczyniał się z innymi do zrównoważenia klęsk ziemi ojczystej, zapewniając jej pierwszorzędne stanowisko na polu naukowem.

Współczesny wielkich Koryfeuszów Cuviera, Lagrange'a, Laplace'a, Momgea, Bertholeta, których imiona błyszczą w przedświcie wieku dziewiętnastego, współczesny zarówno Le Verriera, Jana Dumasa, Pasteura, Milne-Edwardsów, tych tryumfatorów nauki u zmierzchu tegoż wieku, Chevreul był świadkiem i uczestnikiem, owych prac i wysileń, co tak potężnie rozniosły zakres wiedzy ludzkiej i naukom przyrodniczym, nowe wskazały prawa.

Stóletni profesor, wykłada dotąd chemią organiczną w muzeum, przy botanicznym ogrodzie, nie spuszczając z oka postępu nauki, i przedstawia Akademii, jako czynny jej członek, coraz to nowe rozprawy, dotyczące teoryi kolorów z zastosowaniem do przemysłu. Zdrowie jego krzepkie, umysł świeży, czynność niezmordowana.

W bankiecie wyprawionym przez Towarzystwo rolnicze, wzięło udział sto kilkadziesiąt osób. Ofiarowano honorowy puchar jubilatowi, który pracą życia całego, zasłużył się dobrze ojczyźnie.

Chevreuil podziękował głosem donośnym. „Czas, rzekł on, przyprowadza rzeczy do ładu, uświęca pożyteczne wynalazki, cierpliwością tylko dochodzimy wielkich rezultatów." Na poparcie tego, przytoczył imiona wielu uczonych, zapoznanych z razu, którym czas wymierzył sprawiedliwość.

* * *

Do liczby tych uczonych, których prace niedostatecznie zrazu ocenione, miały dopiero później doczekać się chlubnego uznania, należy zmarły astronom Adam Prażmowski. Pisma nasze tyle zajmowały się nim w tych czasach, że byłoby zbytecznem z naszej strony, powtarzać to, co wielokrotnie powiedzianem już było. Dodamy tylko szczegół nie dość znany w Warszawie, wiele pism bowiem przemilczało o nim, zasługuje on przecież na szczególną uwagę.

W r. 1860, jak wiadomo, Prażmowski wysłany został do Hiszpanii, w celu obserwacyi nad zaćmieniem słońca. Nie wdając się w szczegóły naukowe, powiemy tylko, że badania jego zmieniły całkiem pogląd na właściwą naturę korony słonecznej i promieniejącego z niej światła. Wyniki tych badań, ogłosił w rozprawie p. t. „Observations de l'éclipse totale de soleil, du 18 Juillet". Przez lat dziesięć obliczenia Prażmowskiego, wywoływały protestacyą uczonych, mianowicie zawziętego przeciw niemu Piekaringa.

W końcu jednak uczony nasz, odniósł zupełny tryumf. Nastąpiło to wówczas, kiedy w roku 1870, francuzki astronom Jansen, obserwował zaćmienie słońca w Indyach wschodnich. Badania jego doprowadziły do tychże samych wniosków, jakie przed laty dziesięciu Prażmowski ogłosił w swej rozprawie. Dowód na to mamy w Rocznikach akademii londyńskiej, gdzie imię Prażmowskiego pomieszczone obok imion najsłynniejszych astronomów tego wieku.

Na wystawie paryzkiej, w roku 1878, otrzymał Prażmowski złoty medal: za lunety, teleskopy i narzędzia mikrografii, nie zaś za perspektywy teatralne i szkła oczne, jak to mylnie podano w kilku pismach. Wystawiona luneta ogromnych rozmiarów, zwracała uwagę powszechną. Otóż więc ta luneta ofiarowana przez pozostałą wdowę, pomieszczoną będzie wkrótce w obserwatoryum warszawskim, przy którem zmarły astronom nasz, rozpoczął pracowity i chlubny zawód.

Luneta ta przywodzi nam na pamięć zabawne zdarzenie, o którem słyszeliśmy z ust Prażmowskiego. Wykończał ją właśnie, ciekawi pilnie odwiedzali pracownię. Między innymi przybył razu jednego, sławny z bogactw i znaczenia Montefiori.

Było to nad wieczorem, słońce miało się już do zachodu. Astronom nasz przyglądał się przez szkło ognistej kuli. Oznajmiono mu znakomitego gościa.

— Proście o chwilę zwłoki — rzekł Prażmowski — będę służył natychmiast.

— Montefiori nie zwykł czekać! — rzekł dumnie obrażony gość.

Powtórzono te słowa astronomowi.

— Powiedzcie — rzecze — panu Montefiori, że wiem z historyi o Jezuem, który zatrzymywał niegdyś słońce. Ja nie mam takiej siły, muszę dokończyć obserwacyi, nim zejdzie z widnokręgu.

Prażmowski umarł w Paryżu, nie w villi d'Arcay, jak mylnie doniesiono. W zeszłym roku zwątlony na siłach, skwarne miesiące letnie spędzał w Maisons Lafitte pod Paryżem, jesienią powrócił do stolicy. Pochowany na cmentarzu Père la Chaise w stronie, gdzie spoczywają zwłoki znakomitych rodaków: Klementyny z Tańskich Hofmanowej, Franciszka i Ludwika Wołowskiego i innych.

Wkrótce grób jego ozdobiony będzie marmurowym pomnikiem.

(*Dokończenie nastąpi.*)

WRÓĆ.

JAKÓBA SZEWCZIKA.

Z łużyckiego przełożył

Karol Sękowski.

Ah! czemu w oku błyszczy łza,
A ból me ściska serce,
Dlaczego tęskna dusza ma,
W rozpaczy drży rozterce?

A myśl dlaczego szepcze zgon
Zranionej mojej ziemi,
Jakby pogrzebu jęczał dzwon,
Tonami męk pełnemi?

Dlaczego wierny Łużyc syn
W goryczy zdroju tonie,
Ah! czemu każdy ludu czyn,
W ciernistej śpi koronie?

* * *

Bo nasz ojczysty, piękny łan,
Niewdzięczne rodzi dzieci,
Bo wśród boleści bratnich ran,
Zdradziecki uśmiech świeci.

Niewdzięczny! matką gardzisz swą,
Choć jej zawdzięczasz życie,
Nie wiesz, że ona smutku łzą,
Stratę oblewa skrycie.

Więc nić udręczeń biednej skróć,
Na pierś jej złożysz skronie —
O! wróć co prędzej do niej, wróć,
Na matki spocznij łonie!

NA DRODZE I BEZDROŻU.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

E. Zoryana.

(Dalszy ciąg.)

VIII.

Upłynęło kilka tygodni, dla Alfreda wesołych, przyjemnych, bo spędzał je najczęściej po za domem. Dla jego żony, czas to był smutny nad wyraz.

Chora, bezsilna, czuła jak życie jej umyka, a zatrzymać go nie mogła — dziś już może nawet nie chciała.

Dziwna w niej zaszła zmiana.

Lat temu kilka, w dzień ślubu i po ślubie nawet, nie wiedziała czy kocha Alfreda. Podobał jej się, matka radziła pójść za niego, więc poszła. Przyjemnym był; czas płynął jej z nim wesoło, bawiła się prawie ciągle i o miłości nie myślała. Potem choroba zaczęła ją trapić, ale uważała ją za przemijającą.

Wyjazdy do kąpiel, dawały rozrywkę. Towarzyszyła jej zwykle matka i Alfred; potem mąż musiał zostawać w kraju, ona dłużej już bawiła zagranicą, bo tak radzili lekarze. Teraz znów matka wyjechała do bogatej, umierającej ciotki, na Podole. Była osamotniona, więc prosiła męża, aby do niej przybył.

Cieszyła się na samą myśl, że go zobaczy, a gdy przyjechał, serce jej zabiło tak niespokojnie, jak nigdy przedtem. Ujrzała go, tuliła się do jego piersi i była szczęśliwą przez kilka chwil. Potem on wyszedł na przechadzkę, a wrócił tak późno...

Gdzież był tak długo? Nie śmiała go zapytać, lecz czuła, że jej tem wielką zrobił przykrość. Ale to samo powtarzało się co dnia.

Amalia siedziała samotna i smutna, a kiedy myślała o Alfredzie, łzy jej nabiegały do ócz. Był dla niej grzeczny, lecz chłodny, obojętny.

A ona...

Teraz dopiero pokochała go i płakała przez długie wieczory.

Raz, kiedy wychodził z domu, prosiła, aby został, ale odpowiedział: nie mogę!

Dlaczego nie mógł zostać przy żonie, przy niej? Przecież go kochała?! Taka miłość, może się tylko zrodzić w sercu, które czuje, że dobiega dni ostatnich.

Płakała i oczy miała czerwone, a twarz coraz bledszą, oddech coraz krótszy, lecz on tego nie widział. Czuł tylko chłód wilgotnej ręki, którą go dłużej nieraz zatrzymywała. Wtedy dreszcz go przebiegał i myślał o aksamitnej, ciepłej dłoni, która go pieściła całemi godzinami, co dnia... podczas, gdy żona płakała.

Ale mężczyzna nie kochający, jest bez serca i bez litości...

Nie jest to bynajmniej pusty frazes. Życie co dnia daje nam dowody prawdziwości tego zdania.

Ludzie kochający są do siebie podobni. Nie ma pod tym względem różnicy pomiędzy mężczyzną, a kobietą. Oboje zarówno skłonni do wszelkich ustępstw, ofiar, a nawet poświęceń. Mężczyzna kobiecie nie da się prześcignąć, odda jej wszystko, wszystkiego się wyrzecze, bo kiedy kocha, to już sercem całem, całą duszą. Miłość uszlachetnia go, rodzi w nim dobre popędy, którychby dawniej nawet nie miał.

Kto wie nawet, czy w miłości suma zalet, nie przewyższyłaby szali na korzyść mężczyzny? Kobietę absorbują pewne drobiazgi, nawyknienia, którym nie ona sama winna, lecz warunki w jakich wzrosła — wychowanie. Jeśli jej wychowawczynią była matka, z pewnością przejmie od niej wszystko — zalety i wady.

Co u nas jest także bardzo ważnem, to pewna powściągliwość kobiet w objawianiu uczucia. Jest to po części wrodzone, po części wpojone wychowaniem.

U mężczyzny tego nie spostrzegamy. Nie tamuje w głębi piersi swych uczuć, lecz pozwala im swobodnie płynąć falą słów wyznania miłosnego. Cała jego natura zdaje się mięknąć, nabiera spotęgowanej wrażliwości; instynkta dobre wysuwają się naprzód, wady cofają się zawstydzone.

Mężczyzna kochający zdolnym jest do wszystkiego dobrego — nie popełni nigdy nieuczciwości, nie splami duszy podłością. Dla wybranki serca musi być obrazem zalet samych, bo w takiej chwili ma ich istotnie bardzo wiele.

Zakochany jest dobrym dla wszystkich, dla świata całego, nikogo nie skrzywdzi. Postępowanie, ruchy, ton głosu, wszystko w nim szlachetnieje.

Lecz kiedy przestanie kochać?...

Nagła, niepodobna do wiary zmiana w nim następuje. Dzikie instynkta opanowują go zupełnie. Srogim, niewdzięcznym staje się nietylko dla swojej ukochanej, lecz i dla wszystkich, których na drodze życia spotyka. Pierwszym przedmiotem pastwienia się, są kobiety. Nienawidzi ich, chociaż nic mu złego nie zrobiły.

Najbardziej niemiłą staje mu się ta, którą niegdyś kochał. Każde jej spojrzenie jest dla niego ciężkim wyrzutem, dusza jego zdziczała, hardą się staje i nienawidzi wyrzutów. Łagodność, miłość, przyjaźń męczą go. Szarpie się, aby odepchnąć te wszystkie oznaki życzliwości.

Kiedy sam serca nie ma, nie chce go u innych.

Wszelka miłość męczy go — bo musiałby pozostać dłużnikiem — a mężczyzna niekochający staje się hardym i długów nie znosi. Nie będzie niczyim dobrodziejem, lecz i do wdzięczności nie chce być zobowiązanym.

W takich chwilach najlepszem, najwygodniejszem wydaje im się życie bez celu, bez jutra.

Alfred obecnie tego doświadczał.

Przywiązanie, czy miłość żony — nie zastanawiał się nad tem, co to właściwie było — męczyły go, upokarzały — a on pokornym być nie umiał, nie chciał. Długie godziny spędzał po za domem, szukając rozrywki i pragnąc się uwolnić od towarzystwa żony, której widok rozdrażniał go, bolał wyrzutami sumienia, które czuł jeszcze chwilami.

Nie chciał cierpieć, nie chciał myśleć.

Czy go Amalia rozumiała?

Trudno to dociec. To pewna, że ją postępowanie męża bardzo bolało i rady na nie znaleźć nie mogła.

Myślała wiele — zawsze o nim.

Czasem czekała jego powrotu, pochylona nad książką, której czytać nie mogła, bo myśli jej ulatywały gdzieindziej. Jeśli się doczekała, to słyszała tylko jego kroki, ale go już nie widziała. Zdawał się nie uważać, że u niej jeszcze światło płonie; szedł wprost do swego pokoju i wstawał późno.

— Nie kocha mię — myślała, kryjąc twarz w poduszkach, które rano były od łez wilgotne.

Chciała umrzeć, lecz życie spalało ostatki sił powoli; śmierć nie spieszyła się. Więc cierpiała biedna kobieta, której całą winą było, że za późno nauczyła się kochać...

Pewnego dnia, wszedł do niej Alfred w porze niezwykłej, podając telegram, wzywający go natychmiast do Wiednia.

— Pojedziesz?

— Muszę.

— I nie wrócisz tu?

— Wątpię. Zdaje mi się, że będę musiał jechać do kraju. Wybory nastąpią niedługo, trzeba mi tam być koniecznie.

— A gdybym cię prosiła, byś został?

— Moje dziecko, wybacz, ale to obowiązek.

— Tak bym chciała, abyś był przy mnie...

— Nie mogę, widzisz wzywają mię.

Zwiesiła główkę na wychudłe piersi, łzy wymknęły się jej z pod powiek i potoczyły po bladej twarzy.

— Jedź skoro musisz, ale mnie tak smutno...

— Nie bądźże dzieckiem...

Załkała głośno.

— Mam przeczucie, że się już nigdy nie zobaczymy...

— Ależ moja droga...

Spojrzał na nią, na jej zapadłe policzki, przygasłe oczy, które się teraz tylko łzami świeciły i litość się w nim zbudziła. Przytulił ją do siebie, pocałował, pogłaskał jedwabne włosy, które były jedyną pozostałością dawnej piękności i wyszeptał:

— Wrócę jak najprędzej.

— Wrócisz? — podniosła na niego oczy, z których mówiła prośba.

— Wrócę, wrócę, tylko staraj się być zdrowszą.

— O, jakżebym chciała.. ale ty wrócisz?

Ucałował ją raz jeszcze.

— Bądź spokojną.

Obejmowała go cienkiemi ramionami za szyję, tuliła swą twarz do jego twarzy, jak dziecko i nieśmiało, ledwo dosłyszalnie zapytała:

— Czy ty mię kochasz Alfredzie?

Serce jej biło gwałtownie, pierś podnosiła się kurczowo, oczy jakby wystraszone czekały odpowiedzi.

Żal mu się zrobiło tej kobiety, która nad grobem prawie, mówiła o miłości. Więc odpowiedział:

— Kocham...

Chwyciła go za ręce, przytuliła je do ust, które się śmiały, a łzy radości toczyły się po licach.

— Dziękuję ci.

A kiedy odjeżdżał, patrzała długo w tę stronę i przeczucie, że go już nigdy nie zobaczy, mięszało się z promieniami nadziei.

— On mię kocha — szeptała i słowo to było jej jedyną pociechą w życiu cichem, pustem, samotnem.

— Wyzdrowieję — mówiła sobie — on mię będzie kochał, będziemy szczęśliwi, bośmy jeszcze dotąd nimi nie byli...

Miała nadzieję, jak wszyscy prawie suchotnicy.

Amalia dziś dopiero stała się kobietą. Dotąd była dzieckiem pieszczonem, istotą jakąś połowiczną, której rodzaju nie można było określić. Trochę dziecka i trochę lalki, a może najwięcej miała w sobie natury roślinnej. Nawykła do atmosfery cieplarnianej do otaczania się wygódkami, zbytkiem, wytwornością, niczego więcej nie pragnęła.

Alfreda przyjęła z rąk matki na męża, bez niechęci. Podobał jej się, jak podobały koronki i drogie klejnoty.

Dusza w niej spała — dziś dopiero cierpienia obudziły ją. Znudziła się życiem, jakie dotąd wiodła, serce zadrgało gwałtownie; gorączka choroby potęgowała ten zapał, który sam przez się nie był chorobliwym. Poprostu teraz dopiero zrozumiała co to jest miłość, teraz dopiero uczuła się do niej zdolną.

Obojętność męża, zabijała ją powoli. Kochała go szczerze, silnie, więc się nie gniewała, gniewać nie mogła. Onaby mu wszystko przebaczyła, byle by go tylko mogła widzieć, słyszeć głos jego, byle się od niej nie odwracał z niechęcią. Znosiła cierpliwie wszystko złe, które jej wyrządzał.

Była prawie zrezygnowana. Dopiero odjazd Alfreda poruszył ją żywiej. Widywała go mało, a jednak sama myśl o odjeździe, opuszczeniu, zabolała ją strasznie.

Miłość wybuchnęła gwałtownie, więc tuliła się do jego piersi z sercem bijącem, pełnem miłości. To jej uczucie płomienne rozgrzało go na chwilę; na jedno mgnienie oka, stopniała jego obojętność.

Odczuła, zrozumiała to i oślepiona miłością nie pomyślała nawet, że on w tej chwili rządził się tylko — litością. Więc pytała czy ją kocha, a jedno jego słowo uszczęśliwiło ją od razu. Wierzyła i wiarą tą pokrzepiły się jej siły, dźwignęły jakby cudem.

Wiara czyni nas zupełnie szczęśliwymi. Zaślepia nas nieraz, ale wierząc nie jesteśmy zdolni do krytycyzmu, do chłodnego rozpatrywania myśli i czynów tego, któremu z wiarą oddajemy się. Wiara, choćby ślepa jest obfitszem źródłem szczęścia, aniżeli najszaleńsza miłość, trapiona wątpliwościami, podejrzeniem, obawą, zazdrością.

Z wiarą wstąpiła w jej cały organizm nadzieja. Była pewną szczęścia i życia.

Pragnęła żyć, bo on powiedział, że ją kocha, powiedział to po raz pierwszy i pewno nie skłamał. Bo i pocóż miałby ją oszukiwać?!

Od dnia tego uśmiechała się często, czuła wracające siły, giętkość, pragnienie ruchu.

Często wychodziła z domu na przechadzkę, słuchała lekarzy, robiła wszystko co jej zalecali, bo czuła potrzebę zdrowia i sił.

Czasem smuciła się, gdy jej zwierciadło przypominało przebyte cierpienia, które silnie zaznaczyły się na pięknej niegdyś twarzy i wjasnych oczach. Nie spostrzegła nawet, że oczy te, tak niegdyś spokojne, zyskały teraz wyraz, którego dawniej niemiały, wyraz życia. Dziś z oczu tych biła miłość, a to czyniło je istotnie pięknemi.

Uśmiechała się smutno do niegrzecznego zwierciadła i... nie wierzyła mu.

A Alfred?

Czas jakiś myślał o niej. Serce jego zimne, nieczułe, nic i nikogo nie kochające, zadrgało na chwilę uczuciem litości. Widział cierpienia tej, z którą dobrowolnie stanął do wspólnego życia i uczuł coś niby wyrzut sumienia. Zrozumiał uczucie, rodzące się w Amalii tak późno i pojął, że miłość ta może być dla niej silną dźwignią wiary, lecz zarazem źródłem nowych cierpień.

Nie był zdolnym do zgłębiania tego bólu, który wywołuje zawód, odepchnięcie kochającego serca, lecz wiedział, że to boleć musi. Chciał żonie oszczędzić tych cierpień, chciał być dla niej łagodnym, dobrym, chociażby go to kosztowało trochę przymusu... poświęcenia.

Nie kochał, więc nazywał litość poświęceniem.

Lecz myśli te wnet go opuściły. Zajęty był czem innem — dogadzaniem gwałtownie wybujałej ambicyi. Narady w Wiedniu pochłonęły go zupełnie. Jedną teraz miał tylko myśl, jeden cel i ku temu całą zwrócił uwagę.

Zabawił w stolicy dwa dni i pospieszył do Strzałkowa.

Było to w przededniu wyborów. Dawny poseł zrezygnował; trzeba było sobie kaptować łaskę sąsiadów, aby uzyskać poselstwo. Pomoc miał zapewnioną. Ustępujący poseł-starosta, dostał polecenie agitowania za Zagórskim; resztę miały zrobić mówki, obiady i drobne przysługi sąsiedzkie.

Zasługę w obec kraju i powiatu już Alfred położył — wiózł dekret ministerstwa przyznający słuszność radzie powiatowej. Więc ten, który zakończył tak korzystnie tyloletni spór, miał prawo do wdzięczności współobywateli.

Rządzca doniósł mu o dniu posiedzenia rady powiatowej; ułożył więc plan taki, aby wprost na sesyę przybyć, nie uprzedzając nikogo. Jakoż prosto z dworca kolei zajechał przed siedlisko powiatowej władzy. Kiedy drzwi otworzył, powitano go gorąco, lecz jakież dopiero wrażenie zrobił dokument ministeryalny!

Uściskom i dziękowaniu nie było końca; o mało, że nie noszono na rękach, tak wielkiego dobrodzieja. Bronikowski milczał; czuł się zupełnie pobitym.

— Spieszyłem z dobrą wieścią, bo to moja cała przyjemność i szczęście służyć panom w każdej potrzebie... obym tylko częściej mógł być na coś przydatnym — mówił Alfred z dobrze udanem wzruszeniem.

— W sercach naszych masz już pan pomnik, który rość będzie co dnia.

— Dziękuję, dziękuję; nad zasługi to moje.

— Już my lepszego obrońcy naszych interesów nie znajdziemy, ale też potrafimi okazać wdzięczność w każdej doli...

— Bóg zapłać!

— Jakże zdrowie żony?

— Źle — odpowiedział Zagórski smutnie.

— Nie martw się pan, wszystko będzie dobrze...

— Ach, gdyby...

— Będzie, będzie kochany panie. Zostaniesz pan z nami?

— Jak długo każecie.

— Ot; coto gadać wiele — odezwał się ktoś — my tu uradzili wybrać kochanego sąsiada posłem.

— Niezasłużony zaszczyt.

— Przyjmij, prosimy, nie odmawiaj.

— Z wolą moich sąsiadów i braci zgadzam się zawsze, nie mogę wam niczego odmówić, wszystkie siły oddaję na usługi kraju.

— Brawo! będziesz nam posłował.

Tylko Bronikowski i Chodecki nie zgadzali się na ten projekt, lecz ani jeden, ani drugi nie śmieli się odzywać. Bronikowkiego już i tak posądzali o niechęć dla Zagórskiego, a szwagier nie mógł oponować, jako tak blizki powinowaty.

Zaczęły się agitacye.

Ustępujący poseł miał głos ważny, jako starosta. Ten bez ogródki mówił, że lepszego kandydata nie znajdą jak kraj daleki i szeroki; szlachta już dawno przylgnęła do Zagórskiego, który sprasza, bawił, karmił i poił, a w dodatku olśniewał poczciwców swem wykształceniem. Nieraz prawił im takie uczone rzeczy, że ich nikt nie rozumiał — za to ten więcej go chwalili.

Jaki taki miał też w zanadrzu własny interesik do przyszłego posła.

— Niechno go wybierzemy, będzie nam przez wdzięczność świadczył — myśleli i agitowali za Zagórskim.

Wreszcie naznaczono wybory i niespodziewanie

stanął drugi kandydat, popierany przez centralny komitet wyborczy. Był nim książę Władysław X.

Popłoch powstał w powiecie. Co tu począć w obec tak poważnej kandydatury? Obaj mają poparcie z góry, a koniec końców, książę jest księciem.

Chwiejność trwała wszakże nie długo. Sympatya dla Zagórskiego zwyciężyła.

— Co nas obchodzi książę; prawie go nie znamy.

— Nie jest z naszego okręgu!

— Nic dla nas nie zrobił.

— A Zagórski już pokazał co może i jak pojmuje obowiązki obywatelskie.

Obaj kandydaci stanęli przed wyborcami.

Pierwszy przemawiał książę.

Był to człowiek poważny, lat około czterdziestu, minę miał pańską, lecz nie dumną, spokój bił z całej jego postaci.

W przemówieniu jego nie było szumnych frazesów, ale za to wielka znajomość stosunków krajowych, potrzeb najpilniejszych i świadomość dróg, które obierać należało.

Szlachta słuchała zimno i kilku zaledwie pota kiwało głową. Do tych należał pan Brońikowski. Po skończonej mowie odezwały się słabe, nieliczne oklaski. Kilku oponentów zgłosiło się do głosu. Jeden z nich wypowiedział wręcz, że wyżej ceni widoczne już zasługi, aniżeli mowy i rady, że im potrzeba posła, któryby nie strofował obywateli, ale pracował dla ich dobra.

— Chcemy posła z naszej krwi i kości, któryby radził o kraju, ale i o swoim okręgu nie zapominał. Bliższa ciała koszula, aniżeli żupan!

Mowa Zagórskiego, była w całem tego słowa znaczeniu świetna. Obrzucał słuchaczy garściami aforyzmów, błyszczał bystrością fajerwerkową i w końcu przymówił się do najbliższego pokrewieństwa ducha z tymi, w pośród których się urodził i wyrósł.

— Kraj nasz i ten zakątek mój rodzinny, oto co ukochałem i czemu chcę poświęcić się, choćby mi przyszło ledz na wyłomie, bylem się wam na co przydał, byle bodaj moi następcy mogli korzystać z mej pracy.

— Brawo! — huknęła szlachta — brawo! takiego nam potrzeba.

Ktoś z adherentów księcia, zarzucił Zagórskiemu, że jest zbyt wiekim politykiem.

Wszedł poważny na mównicę, patrzał długo na swych przyjaciół i zrazu cicho, potem coraz dobitniej mówił:

— Niemiłą mi jest własna obrona, ale bronić się muszę, bo zarazem bronię tych, co powołując mię do tak wysokiego zaszczytu, dali dowód, iż znają mię, a z przekonaniami memi się solidaryzują. Nie chcę słów tracić wiele, bo niechętnych i upartych nie przekonać, ale odwołuję się do mojch współobywateli, z którymi mam zaszczyt nie od dziś już pracować. Oni znają dokładnie me przekonania i drogi, niech więc mię osądzą. W[taj kiej doli, jak nasza, nie krzykiem i szablą się zwycięża. Świat cały polityjuje, więc i my tej broni musimy się chwytać. Kto ma co przeciwko temu, niech postępuje inaczej, ja przekonań mych nie narzucam nikomu. Ale ponad wszelkie drogi i środki, jest cel wielki, ukochany, któremu byłem i będę wierny. Ostatnie spojrzenie moje będzie wytężone w tę stronę, w którą każdy prawy obywatel patrzeć powinien. To najuczciwsza wiara, a nauczyłem się jej tu, na zagonie w pośród tych, co mi są braćmi najbliższymi. Zechcą, oddam im życie, naukę i pracę. Nie chcę posterunku zdobywać, lecz będę posłusznym. Kto odemnie silniejszy, ustąpię mu, ale wtedy dopiero, gdy ci, którzy mię powołali — odwołają. Ci, co mi mistrzami byli w nauce cnoty i obowiązków obywatelskich, niech rozstrzygają!

Zerwała się burza oklasków. Ściskano mówcę, wyrywano go sobie z rąk i naturalnie przy głosowaniu — zwyciężył.

Ciemno już było, gdy się wybory skończyły. Alfreda z tryumfem wyprowadzono z sali, ale jakiż widok przedstawił się jego oczom.

Nizkie domki małego miasteczka, płonęły od świateł poustawianych w oknach. Iluminacyi takiej nie pamiętano jeszcze w powiatowym grodzie. Tłumy gapiły się po ulicach, przed ratuszem aż czarno było od głów ludzkich.

Gdy Alfred wychodził z sali, dał ktoś znak chustką i wnet z tysiąca ust wybiegło:

— Wiwat!

A w tym okrzyku najwyraźniej było słychać przeciągłą intonacyę:

— Wiwajt! wiwajt!

Długie czarne chałaty poruszały się jak w mrowisku.

Ale nie koniec na tem. Jeszcze nie ucichły okrzyki, gdy kapela, złożona aż z ośmiu żydków, podsunęła się pod sam ratusz, wycięła *tusz* z całych sił, a basista, żyd ogromny, ryl smyczkiem tak potężnie, że grube struny baranie odezwały się, jakby nagle stówagonowy pociąg zahamowano. *Tusz* urwał się, a natomiast usłyszano mazurka, który byłby zdolny człowieka z trumny podnieść. Był to mazur nad mazury, ale w Galicyi grają go już nawet w szynkach, więc trochę spowszedniał. A jednak pod dziwnem wrażeniem, zadrgało powietrze okrzykiem: Wiwat! — *niech żyje!*

Zagórski był istotnie wzruszony, czy udawał tylko. Dziękował, kłaniał się, ściskał, nie wiedząc już kogo i dopiero po dłuższej chwili przemówił głośno.

— Panowie, nie mam słów na podziękowanie za tak niezasłużony objaw uznania; oby mi sił starczyło na zasługę prawdziwą. Na pamiątkę dnia dzisiejszego, ofiaruję miastu tysiąc guldenów na ubogich. Pan burmistrz będzie łaskaw niemi rozporządzić...

Naturalnie podniesiono znowu okrzyki bez końca, a Zagórski tymczasem zapraszał panów obywateli na kolacyą do kasyna.

— Jeśli tylko dostaniemy co zjeść — dodał z uśmiechem.

Ale pokazało się, że nietylko jedzenie się znalazło, lecz już i stoły były przygotowane.

Sprytny właściciel restauracyi, wiedział, że ktoś posłem zostanie, ergo, kolacyjka być musi—mniejsza dla kogo. Kuchnia i piwnica nie pytają o przekonania polityczne.

Jedli tedy panowie zawzięcie, bo kilkogodzinne wybory mają to do siebie, że dziwny rodzą apetyt.

Przy węgrzynie spełniano toasty tak liczne, iż zdawało się przy każdym, że pewno ostatni. Ale gdzie tam! ledwo się zjawiły złote głowy szampana, wnet i nowa fantazya zasiadła do stołu i nowe koncepta do mówek wystrzeliły. Mowy stawały się coraz krótsze, bo na długie owacye nie pozwalały przeładowane głowy. Ostatni toast miał już tylko dwa słowa: *kochajmy się!* Drudzy wołali: *nie dajmy się!* Śpiący kapelmistrz obudził się, wyrznął straszliwy *tusz* i...

Wkrótce światła pogasły.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

RÓŻOWY POWOZIK.

PRZEZ

Alfreda de Bousergeut

PRZEKŁAD

Gabryeli H.

Są dusze, których przeciwieństwo losu nie powinno dotknąć niszczącem skrzydłem, dusze z marzeń i ze złudzeń utkane, które rzeczywistość czyni złemi i sceptycznemi.

Jakże piękną jest wiara! Czemuż, o Boże! o nikczemność ciągle ocierać się trzeba? Piękno, dobro, wszystkie te dalekie pochodnie migocące na widnokręgu, są że to tylko złudnemi widzeniami?

Ah! by dojść do tej rozpaczy szalonej, w której konam, stopniowo zrzec się musiałem dziecinnych mych urojeń.

Ten co wątpi, wierzył we wszystko. Lecz z każdą godziną ulatuje cząstka jego wiary, serce się kruszy, a gdy czasem bić zacznie, człowiek się dziwi, że jeszcze odłamek jego pozostał.

Sen li to, czy rzeczywistość?... Tak, to ja, z czołem posępnem, z duszą zranioną, białej tej karcie powierzam niby ponurą tajemnicę, ostatnie me myśli i krótkie moje dzieje, a jednak tak treściwe! O! gdyby promienna moja przeszłość blaskiem swym czarną tę chwilę otoczyć mogła!... Lecz Dante powiedział:

„...Nie ma większego cierpienia,
Nad szczęśliwe wspomnienie, w gorzkich dniach [strapienia."

Gdyż wzbudza w myśli naszej zbyt smutne porównania, odsłania tem boleśniej okrutną teraźniejszość: niby zwrotka wesoła, co nas nie chce odstąpić, podczas gdy oczy zachodzą łzami, a pierś łkaniem jest wezbrana.

Gdy złożyłem ją w trumnę, strojną jak oblubienicę — złote zwoje jej włosów spływały pod białą zasłoną; twarz miała uroczą, bladością śmierci powleczoną; zesztywniałe rączki, jak marmur zimne, zdało mi się wtedy, że cierpieć większym bólem człowiek nie jest zdolny! Bo ją jedną na świecie kochałem, a ona mnie jednego!

Zamknięto trumnę i spuszczono ją w dół, a gdy ostatnią garść ziemi rzuciłem na mogiłę, ostatnie pożegnanie świata stworzeniu co go opuszcza, uczułem się samotnym na zawsze... na wieki! Ludzie otaczali mnie dokoła... dźwięki jakieś, jakby przez sen słyszałem, lecz myśl moja dążyła za tą ukochaną, której już nie było, a wspomnienie pieściło zgasłe moje szczęście.

Miała lat ośmnaście, — ja, dwadzieścia dwa.

Gdyby się mnie kto spytał, odkąd ją znałem, rzekłbym: Od zawsze.

Jak daleko w dzieciństwo moje sięgnę pamięcią, widzę ją zawsze u mojego boku, towarzyszką moich zabaw, muzą moich szkolnych lat. Istnieliśmy jedno przez drugie, dzieląc radość i smutek, a gdy przed księdzem w białej uklękła szacie, przysięgając mi miłość i wiarę... O! biedna ty moja ukochana, w tej trumience w której śnisz, czy pamiętasz o tej błogosławionej chwili?

Życie nasze było ciche i spokojne; wystarczaliśmy sobie Kilku przyjaciół odwiedzało nas czasem, a między niemi pewien młody chłopak o płytkim umyśle, bez żadnej nauki, której brak dogo

dną pokrywał nazwą: sceptyka. Za takiego uważano go w świecie, gdzie miał wiele powodzenia. Byliśmy kolegami szkolnymi, a następnie rodzinnemi węzłami zbliżeni, zaprzyjaźniliśmy się mimo różnicy upodobań i usposobień. Nie miałem nigdy powodu żalenia się na jego przyjaźń; był uprzejmym, usłużnym, a żona moja znosiła obecność jego dla mnie jedynie. Zresztą, wpatrzeni wciąż na siebie, nie zwracaliśmy wielkiej uwagi na nasze otoczenie.

Co dzień, po południu, wytworny powozik, różowym obity atłasem, prawdziwe gniazdeczko, w którym jak gołąbek tuliła się do mnie; obwoził nas po „Bois de Boulogne". Była to jedna z najmilszych chwil całego dnia. Z nadejściem spacerowej godziny, z dziecinną niecierpliwością oczekiwaliśmy odejścia natrętnych gości, a wtedy, miękko kołysani, napawając się powietrzem, przenoszeni z miejsca na miejsce, spędzaliśmy godzinę całą w zupełnem milczeniu, szczęśliwi, żeśmy razem, szczęśliwi, że żyjemy... dla siebie.

Dnia pewnego, rok byliśmy już pobrani, przyszła śmierć zazdrosna o moje szczęście. Umarła.

Wszystko, co tylko lubiła za życia, zachowałem jak święte relikwie; pokój jej pozostał nienaruszonym... i nie zdając sobie sprawy, oczekiwałem ciągle jej powrotu; marzyłem, że kiedyś, jesienią, w noc wonną ukaże mi się i zawoła: „Otóż jestem!"

Jak dawniej, lecz samotny teraz, odbywałem wycieczki różowym powozikiem; każdy przedmiot, drzewa, domy przypominały mi ją.

Dziś, jak zwykle, wsparty na różowych poduszkach, śniłem o niej, nagle, wzrok mój napotkał wystającą z jednej z kieszonek powozu, ćwiartkę papieru. Były to może słowa miłości spisane dla mnie, może też owoc poetycznego jej natchnienia. O! jakże umysł pracuje w podobnych chwilach... lecz niechcąc z rozkosznych mych otrząsać się marzeń, niechcąc badać mych uczuć, śniłem dalej, nienaruszając rzeczywistości.

Lecz czemuż, ah! czemuż, przedmiot ten trzymał uwagę moją jednak w uwięzi? czemuż, mimo woli dłoń moja sięgnęła po niego?

Zczerniały ten papier dziesięć już lat spoczywał w tem miejscu... dziesięć lat! Dlaczegóż na zawsze nie pozostał dla mnie ukrytym? O! Boże! cóż wyczytałem... wszak to list od niej do mojego przyjaciela, tego płochego chłopca, tego sceptyka. Czyż to nie straszne?

Jedna chwila zdruzgotała całe moje życie. W zaciśniętej pięści trzymałem tę kartę, która stała się moją śmiercią, chciałem zabić złoczyńcę mej miłości. Lecz po cóż? Żyłem tylko przez nią; wiem, że mnie nie kochała... umrę...

Powróciłem do domu, a teraz gdym serce moje otworzył, gdym wyznał moją miłość i mój złudzenie, pytam was boleścią przejętych, czy wszystko kłamstwem na świecie?

Z pod naszej strzechy.

Sprawa pomnika Mickiewicza, pozostaje dotąd w zawieszeniu, gdyż *jury* konkursowa potrzebuje wiele czasu do wygotowania sprawozdania szczegółowego. Nie myślimy się w tem bynajmniej dopatrywać złej woli, gdyż istotnie referat *ostateczny* może się ukazać dopiero wówczas, gdy go wszyscy członkowie sądu podpiszą, a zatem i panowie Zumbusz z Wiednia i Guillaume w Paryżu. Czy jednak nie byłoby rzeczą słuszną, ogłosić sprawozdanie publicznie, przed nadejściem podpisów dwóch członków zagranicznych? Wszak referat będzie tak ułożony, iż go tamci panowie bezwarunkowo zaakceptować muszą. Nam pośpiech bardzo byłby pożądany, w obec niepokoju, który ogarnął wszystkich, a tak głośno odzywa się w prasie. (*)

Przeważna część naszego dziennikarstwa, zachowała się w obec sprawy konkursowej z wielką godnością, jakkolwiek nie można było zamilknąć, gdy oburzenie domagało się bezwarunkowego protestu i to natychmiast.

Mniejsza o to z jakich pobudek sędziowie nagrodzili projekt p. Dykasa — nam idzie o rzecz ważniejszą, o to mianowicie, ażeby według tego projektu pomnik nie był wykonany. To jest życzeniem ogółu, życzeniem stanowczem i prawnem. Kto daje pieniądze, temu przysługa prawo dysponować niemi.

Jakie stanowisko zajmuje prasa, jakie są jej obowiązki w tej sprawie?

Była i jest pośredniczką zbierającą grosz składkowy i tem baczniej musi czuwać nad jego użyciem. Z tej racyi wystąpiły pisma nasze przeciwko wykonaniu pomnika, podług modelu nagrodzonego, a uczyniły to dlatego, iż *jury*, przekraczając swą kompetencyą, uchwaliła wykonanie pomnika.

Uchwała taka należy do komitetu i jemu jedynie przysługa głos w tej sprawie. Sędziowie byli upoważnieni do rozdawania nagród — nic więcej. Jak się z tego postępku wytłomaczą, zobaczymy.

Tymczasem z przykrością notujemy, że niektóre pisma (jedno krakowskie, jedno lwowskie i jedno warszawskie), wystąpiły z niesłychaną gwałtownością przeciwko tym wszystkim, którzy wnieśli protesta, nazywając ich *warchołami*.

Smutne to bardzo, tem smutniejsze, iż ciśnięto ten zarzut w oczy ludziom poważnym i nieposzlakowanej zacności, że nie liczono się nawet z takimi nazwiskami jak: Ludwika Jenikiego, Juliana Kossaka i Jana Matejki. Tych to ludzi nazwano warchołami, robiąc z całej sprawy jakąś walkę stronnictw politycznych.

Tą drogą nie dojdziemy do celu; krzywdzenie osób, szarpanie ich słów, zarzucanie warcholstwa, to są rzeczy niegodne poważnego dziennikarstwa.

Co do stanowiska pism, to nadmienić musimy, iż dotąd *nikt* z ofiarodawców nie zabronił występowania w ich imieniu, że przeciwnie, opinia pochwala zachowanie się prasy. Gdyby ci, którzy pieniądze na pomnik złożyli, nie byli zadowoleni z protestów prasy, niezawodnie objawiliby swe zdanie, jak niegdyś gorąco chwalili myśl zbierania składek i z całem zaufaniem powierzyli pieniądze opiece i szafarstwu redakcyi. Suma składek w samym tylko „Tygodniku Illustrowanym" wyniosła przeszło **19,000 rubli.**

Protesta takich skarbników mają znaczenie bardzo poważne i doniosłe. I uczciwież to, obrzucać je mianem *warcholstwa?...*

Bardzo ważnym głosem jest niezawodnie odezwa krakowskiego koła literacko-artystycznego. Zaraz na wstępie czytamy tam, dla jakich powodów koło odezwę wydaje (posłano ją pod adresem prezydenta miasta, który jest przewodniczącym w komitecie budowy pomnika.)

„Udzielenia przez *jury* pierwszej nagrody projektowi, *nieposiadającemu cech monumentalności, nieodpowiadającemu rozmiarami swojemi miejscu przez komitet wybranemu i odbiegającemu znacznie kosztorysem od kwoty już zebranej i przypuszczalnie zebrać się mającej* — nie można nazwać ściśle opartem na warunkach konkursu, przez komitet ogłoszonych. Sam fakt uznania przez *jury* potrzeby licznych zmian w projekcie nagrodzonym dowodzi, że projekt nie odpowiadał głównemu warunkowi, a mianowicie ustępowi: „*Pierwsza nagroda przyznaną będzie projektowi bezwzględnie dobremu, który według uznania jury, odpowiada warunkom wykonania*". Głównego na razie zawodu doznali artyści-rzeźbiarze, którzy prace swoje zastosowawszy do wymagań konkursu, słusznie czują się pokrzywdzeni odznaczeniem projektu najmniej wymagania konkursowe uwzględniającego."

Następnie położony jest nacisk na to, o czem sędziowie zdaje się zapomnieli, a mianowicie, czego chciał nasz ogół, dając pieniądze na pomnik dla naszego największego poety. Pomnik powinien sam mówić wszystko: i czem był ten, któremu go wzniesiono na wieczną pamiątkę i jak go zrozumieli ci, którzy grosza nie poskąpili na pierwszy u nas pomnik tego znaczenia i tej moralnej wartości.

Następnie powiada odezwa, iż komitet powinien postanowić w jaki sposób rzecz całą załatwić, czy ogłoszeniem zupełnie nowego konkursu, czyli też ściślejszem wyborem, pomiędzy nadesłanymi projektami, czyli też w sposób inny. Lecz ponieważ dzisiejsi sędziowie zbłądzili, powinniśmy zawczasu pomyśleć o nowych. Kogóż do ich grona powołać?

„Ponieważ jest rzeczą słuszną, aby kraj posiadający artystyczne instytucye używał ich pomocy w sprawach tego rodzaju, a nie oddawał decyzyi komisyom, wybranym przez ludzi najlepszej woli, ale mogącym w wyborze pobłądzić — walne zgromadzenie Koła uważa za stosowne zaproponować, aby powołana przez komitet, w razie potrzeby, komisya oceniająca składała się z delegatów: szkoły sztuk pięknych w Krakowie, towarzystw przyjaciół sztuk pięknych w Warszawie, Lwowie i Krakowie, Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu, muzeum narodowego w Krakowie, kół artystyczno-literackich we Lwowie i Krakowie, oraz Towarzystwa technicznego w Krakowie. Komu zaś należałoby tej komisyi przewodniczyć, kto powinien mieć zawsze ostatnie słowo w sprawach artystyczno-narodowych, o tem głos opinii dawno już rozstrzygnął."

Niezawodnie miano tu na myśli jedynego człowieka, który zasłużył na to, ażeby decydować o tak ważnej sprawie — Matejkę. Twórca naszego historycznego malarstwa może i powinien być sędzią w sprawie pomnika, który zarazem artystyczną i historyczną ma mieć wartość.

Trudno odgadnąć, jaką drogę komitet wybierze, to tylko pewne, iż konkursa takie, jakie dotąd widzieliśmy, do niczego nie prowadzą. Sądzimy, iż daleko lepiej by było wprost i jawnie rozpatrywać projekta. Wtedy przynajmniej nie jest się narażonym na zarzut stronniczości, pokrytej niby nieświadomością. Niech artyści i ludzie fachowi osądzą, który z projektów byłby najlepszym,

(*) „Kuryer Poranny" ogłosił w N-rze 75 sprawozdanie komisyi sędziów — nie jest ono wszakże *urzędownie* podane, dlatego powstrzymujemy się od uwag dalszych do następnego numeru.

niech wskażą jakim pomnik taki być powinien, a po dokładnem porozumieniu się wykonanie byłoby już rzeczą najłatwiejszą.

Rzucił ktoś myśl, czyby nie było dobrze wykonać projektu Matejki, naturalnie po przedyskutowaniu z ludźmi fachowymi, po przeprowadzeniu pewnych jakichś zmian. Może by to było dobre, a pamiętajmy o tem, iż pomiędzy znakomitemi pomnikami świata niejeden jest taki, który wykonano podług planu malarza, lub architekta.

Obecnie podajemy za korespondentem „Kuryera Warszawskiego" kilka szczegółów o p. Dykasie i jego projekcie. Są to wyjątki z otwartego listu znanego artysty p. Styki, który osobiście rozmawiał z profesorem Zumbuszem w Wiedniu.

Prof. Zumbusz, jak to z całogodzinnej rozmowy p. Styka wywnioskował, uważa p. Dykasa za niezdolnego do wykonania pomnika, „co się samo okaże (słowa prof. Z.), jeżeli przedstawi figurę Mickiewicza metrowej wysokości." Prof. Zumbusz radzi w ogóle, aby konkurujący wykonali figurę Mickiewicza, ale „o własnych siłach", bez niczyjej pomocy. (Stosuje się to do projektu *jury* konkursowej, ażeby p. Dykas wykonał pomnik pod nadzorem p. Z. w Wiedniu.)

Prof. Zumbusz dał dopiero na ostatku głos za projektem p. Dykasa i to jedynie na podstawie bocznych figur: „Przeszłości" i „Przyszłości", które uważał za nieźle pomyślane, lubo mało posiadające ekspresyi.

Prof. Zum. gotów w każdej chwili publicznie oświadczyć, co mówił zasiadając w *jury* i jakie zarzuty czynił projektowi p. Dykasa. Zarzuty te tyczyły się słabego technicznego wykonania figur, oraz postaci Mickiewicza, skurczonej, niedołężnej i bojaźliwie pojętej.

Doniesienie to ma wielką wagę i zbija z gruntu argumenta owych trzech pism, które tak szczodrze rozdawały tytuły *warchołów*.

W oczekiwaniu dalszego przebiegu tej sprawy, zawieszamy na dziś rzecz o pomniku, a zanotujemy projekt wzniesienia pomnika innego, który zapewne rychło przyjdzie do skutku.

Oto „Przegląd tygodniowy", proponuje wystawienie pomnika ś. p. Filipowi Sulimierskiemu, niedawno zmarłemu współpracownikowi i inicyatorowi wydawnictwa „Słownika geograficznego". Myśl piękna, zasługująca na poparcie. Szczerze zachęcamy do składek na ten cel i gotowi jesteśmy do pośrednictwa, a nie wątpimy, iż potrzebna suma wnet się zbierze, zwłaszcza, że tu nie o wielką idzie kwotę.

Ze świata artystycznego, należy zapisać występy panny Pospieszilówny, artystki pragskiej, którą dotąd widzieliśmy na naszej scenie dwa razy. Grała w „Rozwiedźmy się" i w „Fauście" (rolę Małgorzaty). W drugiej osobliwie sztuce zaznaczyła wybitnie wysoki talent dramatyczny, łączący sztukę z prostotą i naturalnością.

O artystce tej napiszemy osobno, po trzecim występ[illegible] w „Frou-Frou". Tu tylko wspomnieć się [illegible]dzi, iż publiczność nasza bardzo serdecznie powitała czeskiego gościa; słuchano z wielką uwagę, nie szczędząc zasłużonego uznania.

Sama Pospieszilówna wywiezie niezawodnie miłe wspomnienie z Warszawy.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Cnotliwi, powieść *E. Orzeszkowej*. Warszawa, u S. Lewentala, 1885 r.

W miarę wznoszenia się talentu, w miarę dojrzewania i wzbogacania się w doświadczenia, coraz poważniej dotyka Orzeszkowa błędów ludzkich. W pierwszych powieściach spotykamy wady jednostek, nieraz nielicznych i jednostkom przedewszystkiem szkodzące—w późniejszych widzimy chroniczne choroby społeczeństwa, dotykające w następstwach wielu.

Do takich chorych, trudno uleczalnych, należą tak zwani *cnotliwi* czyli hipokryci.

A małoż ich jest na świecie?

Spojrzyjmy tylko dokoła, a znajdziemy odpowiedź gotową — choć niestety smutną. Dwie siły działają przeważnie w cnotliwych: pociąg do złego — to rzecz ogólna ludzka — i wstyd fałszywy. Nie mają odwagi potrzebnej do przyznania się do win choćby najlżejszych, a zamiast o pokucie, szczerej skrusze i poprawie, myślą tylko o całości płaszczyka, którym okrywają obrzydliwą nagość moralną. Płaszczyk ten, tak pospolicie znany pod mianem hipokryzyi, składa się z dwóch wielkich szmat: podszewkę stanowi ciągła komedya skromności i cnoty, bijącej jaskrawą barwą w oczy łatwowiernych. Za lada poruszeniem odkrywa się ta podszewka i krzyczy: patrzcie jakam barwna, jasna i czysta! — a ludzie wierzą temu krzykowi i jak echo powtarzają: czysta!...

Na taką podszewkę naszywa się jedwabną, ogromnie szeleszczącą materyę ciągłego oburzania się. Ten szmat szaro-skromny w ciągłym jest ruchu, najmniejsze przewinienie ludzkie drażni go, ale do prawdziwie konwulsyjnych ruchów pobudza go cnota prawdziwa, jasna, szczera, odrzucająca fałszywe łachmany skromności. To wróg groźny pseudo cnoty, więc „*cnotliwi*" wołają na gwałt potępienia! Czują, rozumieją, że w obec rzetelnej cnoty i rzekoma cnotliwość nieostoi się, więc depcą ją nogami, spychają w błoto i... wielu im wierzy, wielu wraz z niemi oburza się.

Biedni „*cnotliwi*", rozumieją jedną stronę cnoty, a zapominają o drugiej; boją się rywalizacyi, zestawienia, porównania, a nie wiedzą o tem, że broń ich ostra, błyszcząca, oślepia tylko czasem widzów, lecz cnoty prawdziwej nie zabija.

Czasem uda się komuś zedrzeć maskę obłudy z tych „*cnotliwych*"; trudniej nakłonić ich do poprawy. Szczęśliwy kto takiego dzieła dokona.

Oto myśli, na których zbudowana jest powieść Orzeszkowej, głębokie, sięgające do gruntu poważnych wad społecznych, godne pamięci i prawdziwej uwagi.

O fabule powieściowej, artystycznem wykończeniu i technicznej robocie mówić nie potrzebujemy. Jest to jedna z tych powieści, która świadczy wymownie o sile talentu Orzeszkowej—talentu w pośród kobiet istotnie niepospolitego.

Obrazki z życia i fantazyi, *Zofii Łempickiej*. Warszawa, 1884 r.

Nowe, nieznane nazwisko witamy na tytule tej książki, a witać je musimy sympatycznie, bo autorka sercem pisze, więc też i jej utwory do serca trafiają. Wiersz w ogóle gładki znamionuje łatwość pisarską, co już wielką jest zaletą. Czasem jeszcze tu i owdzie znajdzie się wiersz o formie zbyt prostej, dalekiej od doskonałości rymotwórczego kunsztu, ale są to tylko wyjątki, wyniki niedopatrzenia może.

Myśl zacna, szlachetna, przyświeca autorce, to też jej książka, choć wiele w sobie mieści smutku, wznosi pogodę, jasność i zadowolenie.

W pierwszym zaraz utworze p. t. „Jeniec z pod Cecory" znać talent rzewny, pełen głębokiego uczucia. Kilka miejsc bardzo pięknych pod względem kompozycyi i techniki wysłowienia, tylko ustęp piąty słaby i blady w zestawieniu z całością.

Czasem autorka nagromadza zbyt wiele myśli, co za sobą pociąga pewne pogmatwanie się, chaos. Gdzieindziej forma przewlekła, brak streszczenia widoczny, ale niezawodnie uniknie autorka tych błędów w dalszych pracach, do których szczerze ją zachęcamy.

Dla przykładu, przytoczymy tu jeden ustęp z wiersza p. t. „Sercem za serce". Myśl prześliczna i forma piękna zalecają ten utwór godny uwagi.

„Miłość i spokój, mierny dostatek
I obowiązek święcie pojęty,
Piosnka na ustach, we włosach kwiatek —
Oto najmilsze dla mnie ponęty.

A gdy świat zburzy twoje nadzieje,
Gdy się twe czoło pochyli troską,
Ja ciepłem słówkiem pierś ci rozgrzeję,
Albo ci pomoc wymodlę Boską.

Razem w nieszczęściu i w szczęściu razem —
Ja twoją radą... ty moją wolą...
Stal się hartuje miększem żelazem —
Ten przykład będzie, żony twej rolą.

Porzuć przysięgi i obietnice,
Które za miłość bogactwem płacą...
Im są ciaśniejsze słowa granice,
Tem bardziej czyny w treść je bogacą;

A gdzie obietnic, przysiąg zbyt wiele,
Tam możność z chęcią bywa w rozterce,
Ja każdą dolę z tobą podzielę,
Tylko płać zawsze sercem za serce!

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** Do licznych kwestyi zapełniających szpalty pism, przybyła nowa: Co się dzieje z Rogozińskim?... Pierwsze doniesienia zawiadamiały że został pochwycony w Kamerunie i wraz z królem Bella na niemieckim statku „Adler", odwieziony do Hamburga—i niemieckie dzienniki długo wcale temu nie zaprzeczały. Aż naraz „Post", „Berl. Börs. Cour.", „Nordd. Alg. Zeit.", wystąpiły z zaprzeczeniem, dowodząc, że Rogoziński jest wolny „i nie przestaje działać na szkodę Niemiec, a dopomagać Anglikom." Sprzecznie z niemieckiemi pismami „Dzien. poznań." ogłasza, iż wie z najpewniejszego źródła, bo od blizkiego krewnego Rogozińskiego, iż tenże znajduje się w Hamburgu, skąd jako tylko urlopowany oficer marynarki

rosyjskiej, odstawiony ma być do Petersburga czy Kronsztadu. Która z tych wiadomości jest prawdziwą? Na to pytanie tylko rodzina dzielnego podróżnika odpowiedziećby mogła i dziwna rzecz dlaczego dotąd uporczywe zachowuje milczenie.

*** Znany komedyopisarz, Józef Bliziński, ukończył trzy tomowy Słownik polski, będący dopełnieniem Słownika Lindego. W słowniku ostatniego nie zamieszczono przeszło 10,000 wyrazów; sama litera A obejmuje u Bli. przeszło 320 wyrazów więcej.

Wyrazy objaśnione są przekładami jak u Lindego. Pracy tej Bliziński poświęcił kilkanaście lat czasu.

*** W tych dniach przybyło do Warszawy kilku kupców z Merwu, dla zawiązania stosunków handlowych. Przez osiadłych tam Warszawiaków, dobrze zostali zawiadomieni o tutejszych firmach i fabrykach. Kupcy merwscy zakupili na pocnątek znaczną partyą obuwia, ubiorów, galanteryi i konfekcyi damskich, dla bezzwłocznego wysłania w głąb Azyi. Podróż z Merwu do Warszawy trwa przeszło dwa miesiące, a w ciągu nich przeszło sto mil drogi przebywać trzeba na wielbłądach.

*** Przed parą tygodniami, pani Z. i siostra jej, panna K. opuściły Warszawę, udając się w podróż do Ziemi Świętej. Pobożne pielgrzymki pojechały najpierw do Rzymu, prosić Ojca świętego o błogosławieństwo, a po uroczystościach Zmartwychwstania Pańskiego, niebawem puszczą się w dalszą podróż.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** Z powodu urodzin Ojca świętego, które przypadają dnia 2-go marca i rocznicy Jego koronacyi, wszyscy ambasadorowie i ministrowie pełnomocni uwierzytelnieni przy Stolicy Świętej, jako też kardynałowie, dwór papiezki i prałaci rzymscy składali kolejno hołd i życzenia swoje Jego Świątobliwości.

W marcu nastąpi konsystorz, na którym Ojciec święty mianuje wielu biskupów i będzie miał, jak zapewniają, ważną allokucyą; atoli kreacye licznych kardynałów nie odbędą się w tym miesiącu, jak to zapowiedziały niedokładnie uwiadomione dzienniki, ale odłożone zostały do czerwca i do września. Niewątpliwą już jest kreacya monsignora margrabiego Theodolego wielkiego marszałka dworu i dwóch Benedyktynów, skutkiem czego zakon św. Benedykta będzie liczył pięciu członków swoich, obdarzonych kardynalską purpurą.

*** Nader uroczyście obchodzono w Paryżu 83 rocznicę urodzin Wiktora Hugo. W olbrzymiej sali hotelu *Centinental*, w przeddzień urodzin odbył się świetny bankiet, a w sam dzień składano solenizantowi życzenia, w domu jego przy „Avenne Victor Hugo". Na cześć wieszcza Ludwik Ulbach, pomieścił w „Figaro" kalendarz, w którym każdy dzień roku zaznaczony jest jakiemś wspomnieniem z życia poety, lub też wyjątkiem z jego poezyi w dniu tym napisanych. Pomiędzy innemi zamieścił śliczny czterowiersz, jaki sędziwy wieszcz napisał pod krzyżem 28 marca 1842 roku.

Płaczesz — spojrzyj, łzy Boga to twoja pociecha,
Cierpisz — zwróć się do Niego, bo On zdrowie [daje,
Drżysz — przytul się ku Niemu, bo On się uśmie- [cha,
Przechodzisz — stań tu przy Nim, bo On pozo- [staje.

*** Utworzyło się świeżo w Paryżu Towarzystwo niesienia pomocy ofiarom wypadków ulicznych, pod przewodnictwem p. Juliusza Simon. Dla łatwiejszego osiągnięcia zamierzonego celu, towarzystwo postanowiło urządzić komunikacye telefoniczne i telegraficzne w różnych częściach miasta, pomiędzy aptekami i szpitalami, aby w razie wypadku, jak najspiesznej zawiadamiać, gdzie wypadnie potrzeba, dla niezwłocznego przysłania lektyki, aby chory czy raniony był jak najspieszniej odniesiony do domu czy szpitala i udzielenia mu natychmiastowej pomocy.

*** Na mającej się wkrótce odbyć w Londynie wystawie wynalazków, ma być podobno urządzony dział polski; w tym celu komitet wystawy zawiązał układy z kilku zamożnymi naszymi przemysłowcami, przebywającemi zagranicą.

*** Japonki wielkie robią postępy na drodze emancypacyi. Niejaka panna O Sata San, licząca dopiero lat dwadzieścia, nie wahała się wejść do składu redakcyi dziennika, wychodzącego w Tokkio i pracować wspólnie z mężczyznami.

*** Za dawnych czasów, w Celowcu, w Karyntyi, praktykowało się osobliwsze postępowanie sądowe. Podejrzanych o kradzież, wieszano bez przeprowadzenia uprzedniego śledztwa — i dopiero w trzy dni później sąd rozpatrywał sprawę. Jeźli powieszony uznany był winnym, pozostawiano go na szubienicy, w razie zaś uniewinnienia zdejmowano biedaka z szubienicy i z wielką czcią grzebano kosztem miasta.

Śliczne zadośćuczynienie i pokrzywdzonemu i sprawiedliwości.

*** Wychodzący w Wiedniu „der Elektrotechniker", zamieszcza zajmujące doświadczenie elektryczne, dające się wykonać bez specjalnego aparatu. Kartka papieru ogrzana przy ogniu lub nad lampą, a następnie zaniesiona do ciemnego pokoju, za lekkiem dotknięciem palca, wydaje iskrę elektryczną. Jeźli między dwie ogrzane kartki zwyczajnego papieru, włoży się kawałek papieru złoconego, a następnie dotknie się takowych końcem ołówka, otrzymuje się świetlaną linię ognia elektrycznego.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Prenumeratorce z Zamościa. Różnica zdań w kwestyi, o której pani pisze, nie powinna istnieć. Znajomość z balów bezwarunkowo nie upoważnia do zbliżania się na przechadzce, jeżeli mężczyzna w domu rodziców nie bywa. Błąd to ze strony mężczyzny wielki — lecz tyle przynajmniej w całej tej sprawie dobrego, że ubodzy coś z zakładu skorzystają.

OD REDAKCYI.

☞ Tom pierwszy pism Alberta Wilczyńskiego, ozdobiony portretem autora, już wyszedł i obejmuje początek:

„Kłopotów Starego Komendanta".

Wydawnictwo to, redakcya przeznaczyła na **premium nadzwyczajne** dla swoich prenumeratorów, obniżając dla nich cenę do minimum, bo do połowy ceny księgarskiej.

Cena prenumeracyjna pism Alberta Wilczyńskiego:

Dla prenumeratorów „Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*
za tom kop. **60**; za tomów 12 rs. **7** k. **20**
w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:
za tom kop. **70**; za tomów 12 rs. **8** k. **40**

Dla nieprenumerujących „Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*
za tom rs. **1** k. **20**; za tomów 12 rs. **14** k. **40**
w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:
za tom rs. **1** k. **30**; za tomów 12 rs. **15** k. **60**

Należność prenumeracyjną można wnosić rocznie, półrocznie, kwartalnie, lub też za każdy tom oddzielnie.

Adres: J. K. Gregorowicz, w Warszawie, Widok Nr 3.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава 6 Марта 1885 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz**. Wydawca **E. Skiwski**. Druk **E. Skiwskiego**, Warszawa, Chmielna Nr 20.

Opis do N-ru 12.

(Dokończenie.)

N. 8. Sukieneczka wycięta dla dziewczynki lat 6—8.

Uszyta z białego kaszmiru, ma spódniczkę przykrytą szeroką falbaną z wełnianej koronki. Bluzka wycięta kwadratowo zszyta jest ze wstawek koronkowych i pasków wstążki ottoman 5 c. szerokiej, zakończonych u dołu w zęby. Pod wstążką przewleczony jest pasek związany z tyłu w kokardę.

N. 9. Sukienka z paletocikowem stanikiem, dla dziewczynki lat 7—9.

Odrobiona z piaskowego beżu w bronzowy rzucik, ma stanik paletocikowy na szwach otwarty wzdłuż na 13 cent. i z brzegów złożony w fałdki zwrócone pod spód, na które przy krajaniu dodaje się po 8 c. wszerz. Kołnierz i mankiety koronkowe. Spódniczka 44 cent. długa, 310 cent. obwodu mająca, zaplisowana w fałdy przyszyta jest do paletocika, w odstępie 12 cent. od wcięcia stanu. Z wierzchu przykryta dwoma falbanami batystowemi, haftowanemi ażurowo.



N. 1. Kapotka dla dziewczynki.



N. 2. Czapeczka dla chłopczyka.

N 11—12 i 28. Woreczek do robót.

Podstawę stanowi dany w środku kawałek tektury 8 c. szeroki, 26 długi od spodu pokryty białym, z wierzchu wiśniowym atłasem, który składa się we dwoje lecz nie załamuje u dołu a z boków łączy sufletami z ponsowego atłasu na białej podszewce. Długość sufletu wynosi 18 cent. szerokość górna 3 i pół, dolna 7 cent., brzeg dolny jest trochę zaokrąglony a brzegi boczne przed przyszyciem zakładają się w cztery fałdki. Rycina 11 daje część roboty wiązanej z szarych nici, zdobiącej środek woreczka; na ryc. 28 wskazujemy zaczęcie wiązania pięciu nitek podwójnych na każdą grupę deseniu.



N. 3—4. Wachlarz i rozeta z wązkiej wstążeczki.

N. 13—14. Wachlarz zawieszony na wstążce.

Zawieszenie wachlarza na wstążce, zakończonej kokardami i gałązkami kwiatów jest nietylko praktyczne ale zarazem przystraja suknię. Rycina 14 przedstawia wachlarz z hebanowego drzewa bogato złoconego, zdobny piórkami pawiemi i strusiemi; zawieszony na 3 c. szerokiej wstążce atłasowej z lewą stroną ottoman, wziętej podwójnie 90 i 74 cent. długiej. Kokardy ułożone podług ryc. 13, zdobne gałązkami kwiatów przypinają się na sukni lub na ramieniu i poniżej wcięcia stanu.



N. 5—9. Ubrania na lekcye tańca.

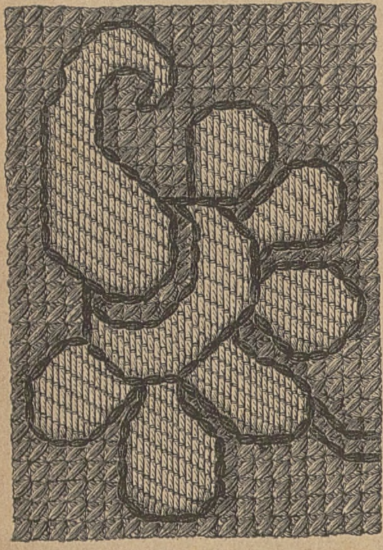
N. 5. Sukienka ze stanikiem z baskiną dla panienki lat 8—10. N. 6. Sukienka z bluzkowem vetement dla panienki lat 10—12. N. 7. Sukienka z vetement dla panienki lat 11—14. N. 8. Sukieneczka wycięta dla dziewczynki lat 6—8. N. 9. Sukienka formą paletocika dla dziewczynki lat 7—9.



N. 10. Szlak haftowany złotem, do ryc. 26 w N-rze 11.

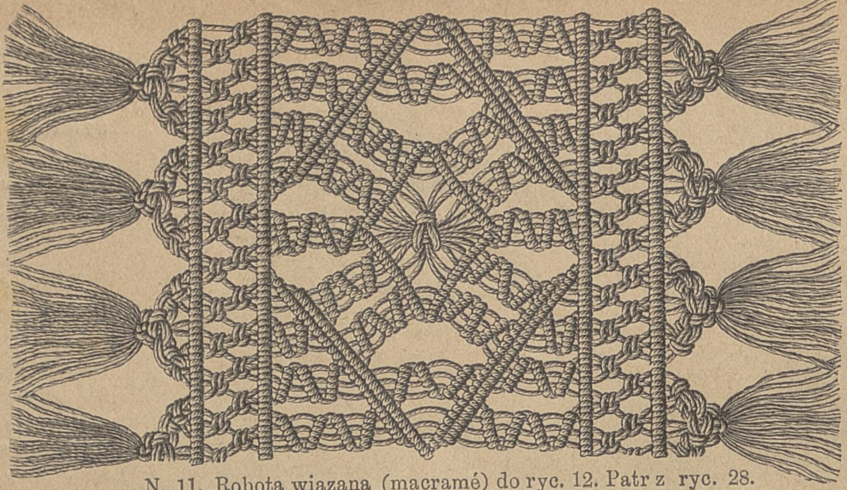
N. 17—20. Postumencik w formie wachlarza, do fotografji.

Rycina 18 przedstawia oryginalne zastosowanie wachlarza palmowego, jako postumencika do wkładania fotografii, który może stać lub leżeć. Liść palmowy 34 cent. długi, 32 szeroki pokrywa się kolorowym atłasem, od spodu zupełnie gładko, z wierzchu zaś atłas zakłada się podług ryc. 19 w duże poprzeczne fałdy po 3 c. głębokie.

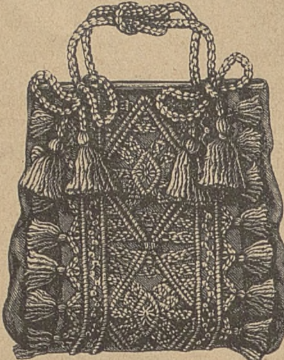


N. 17. Haft do ryciny 18.

Prócz fałd, za które wsuwa się fotografie, dane są z wierzchu dwie owalne kieszonki po 22 cent. długie, 11 szerokie. Jedna kieszonka pokryta jest pluszem, na którym wyhaftowany złotem monogram, na drugiej zaś dany haft podług ryc. 20. Tło do haftu stanowi materya adamaszkowa w złoty deseń, który pozostaje widocznym, lecz ma kontury ostębnowane filozelą; tło jedwabne zostające między deseniem wyszyte jest krzyżykami jedwabiem lub włóczką crevel, na podłożeniu kanwy, którą się wysiepuje. Brzegi liścia po przyszyciu kieszonek objęte są atłasowym rulonikiem, okręconym sznureczkiem złotym. Na ryc. 19 widzimy kieszonki ozdobione odmiennie; jedna atłasowa haftowana ściegiem sznureczkowym, druga aksamitna, naszyta w krateczkę sutaszem złotym. Kokarda z wstążki 7 cent. szerokiej.



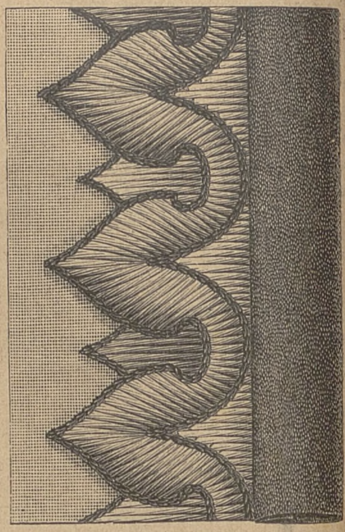
N. 11. Robota wiązana (macramé) do ryc. 12. Patrz z ryc. 28.



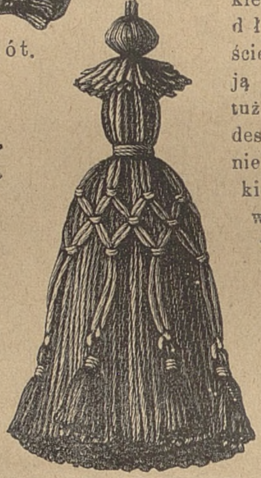
N. 12. Woreczek do robót. Patrz ryc. 11.

N. 15—16 i 21. Poduszka do kanapy. Haft renaissance patrz ryc. 14 w N. 11.

Zwierzchnia strona poduszki 40 cent. szerokiej a 46 długiej dana z mocnego płótna domowej roboty pokrytego wspaniałym haftem w stylu renaissance. Ryc. 14 w N. 11 daje większą połowę deseniu a r. 16 daje szlaczek brzeżny. Wszystkie kontury wyszyte są ściegiem łańcuszkowym, jedwabiem, zapełnienie deseniu odrobione ściegiem renaissance, filozelą dzieloną po trzy nitki, lub też w niektórych figurach ściegiem skośnie krzyżowanym. Haft renaissance tem różni się od zwykłego płaskiego, że długie ściegi nie przewłóczą się z lewej strony lecz dają tylko z prawej, wyjmując igłę na wierzch tuż obok poprzedniego ściegu. Większe figury deseniu mają długie ściegi przeszyte poprzecznie, drobnemi stębnowanemi ściegami, łancuszkiem lub ściegiem krzyżowanym, jak to ryc. 14 w N. 12 wskazuje. Na modelu kontury były wywodzone różnemi kolorami, zapełnienie zaś deseniu odrobione piaskową filozelą lub jedwabiem. Szlaczek brzeżny miał łańcuszek wyszyty kolorem bordeaux, większe zęby zapełnione piaskową filozelą, małe ząbki blado-niebieską; trójkąciki jasno zieloną. Spodnia strona poduszki pokryta pluszem miedziano czerwonym, wywiniętym na wierzch w obręb 1 c. szeroki. Na rogach dane kwasty, których wzór w zmniejszeniu przedstawia ryc. 15.



N. 16. Szlaczek do ryc. 21.



N. 15. Kwaścik do ryc. 21.



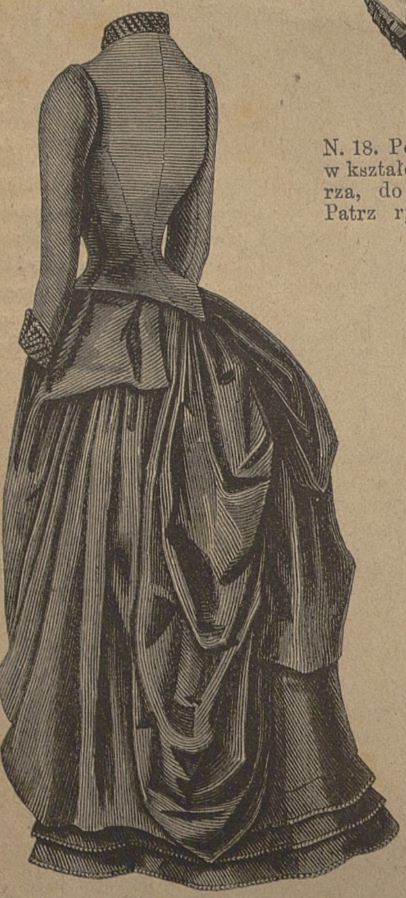
N. 13—14. Wachlarz zawieszony na wstążce z kokardami.



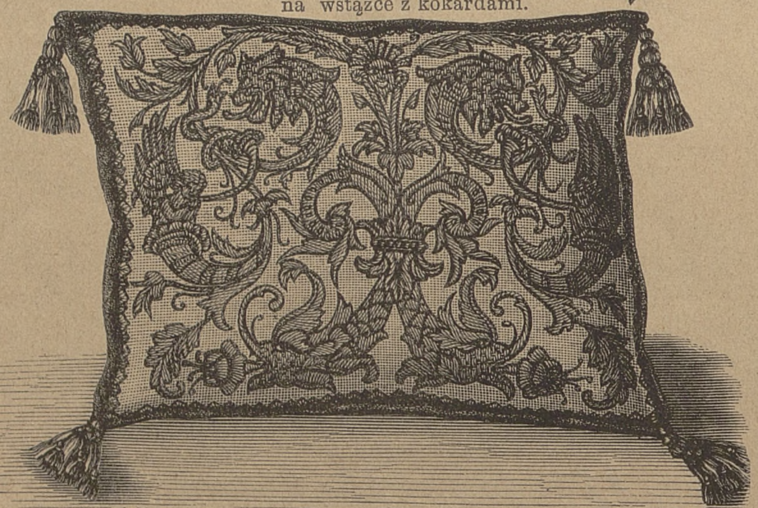
N. 18. Postumencik w kształcie wachlarza, do fotografii. Patrz ryc. 17—20.



N. 19. Postumencik w kształcie wachlarza do fotografii. Patrz ryc. 17—20.



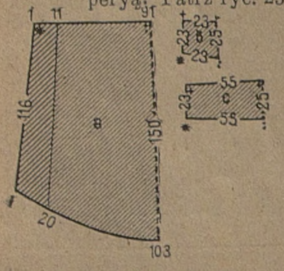
N. 22. Ubranie domowe z długą draperyą. Patrz ryc. 23 i 27.



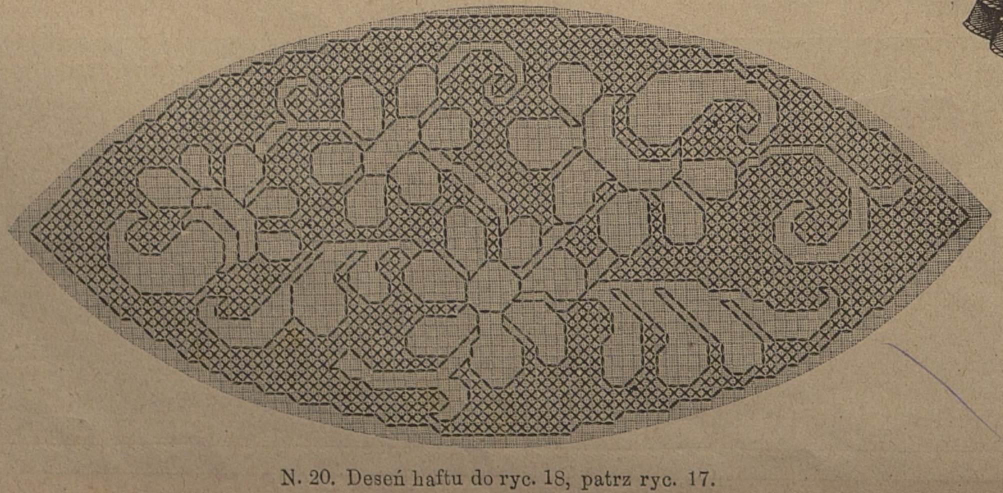
N. 21. Poduszka do kanapy z haftem renaissance. Patrz ryc. 14 w N-rze 11.



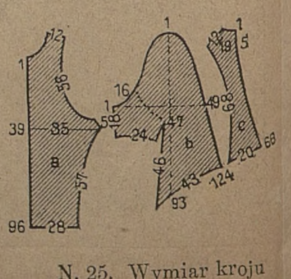
N. 23. Ubranie domowe z długą tuniką. Patrz ryc. 22.



N. 24. Wymiar trenu do ryc. 2.



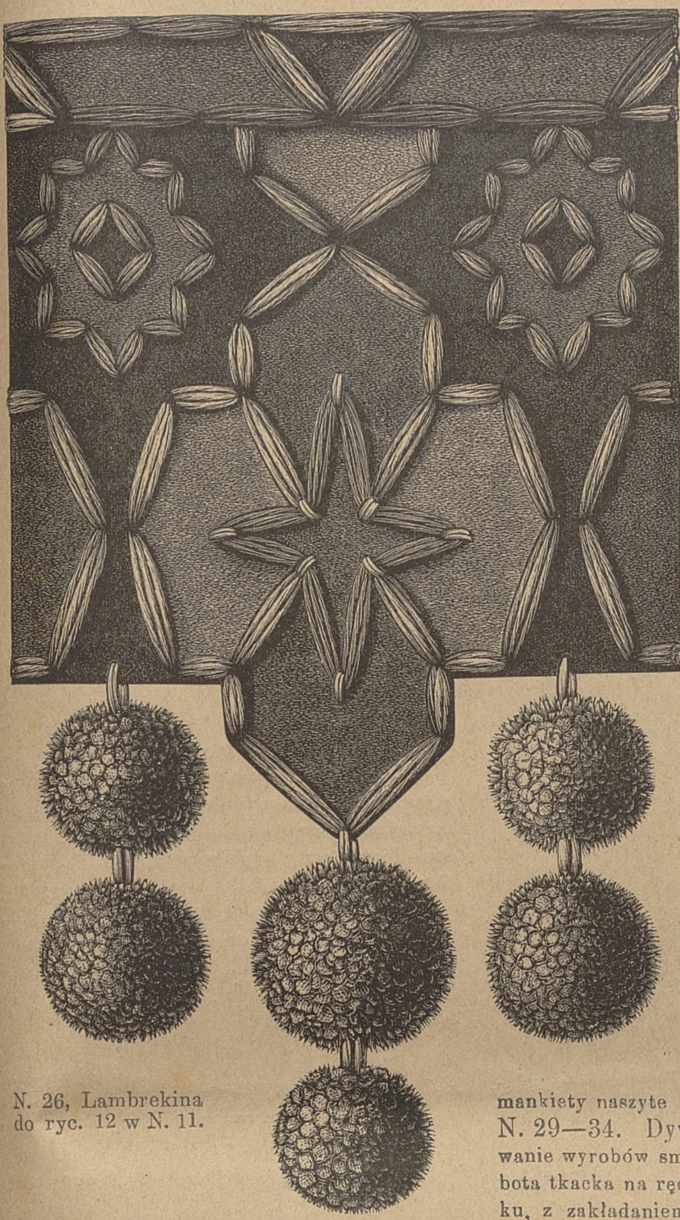
N. 20. Deseń haftu do ryc. 18, patrz ryc. 17.



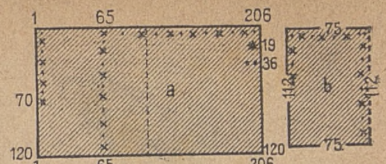
N. 25. Wymiar kroju okrycia ryc. 37.

N. 22—23 i 27. Ubranie domowe.

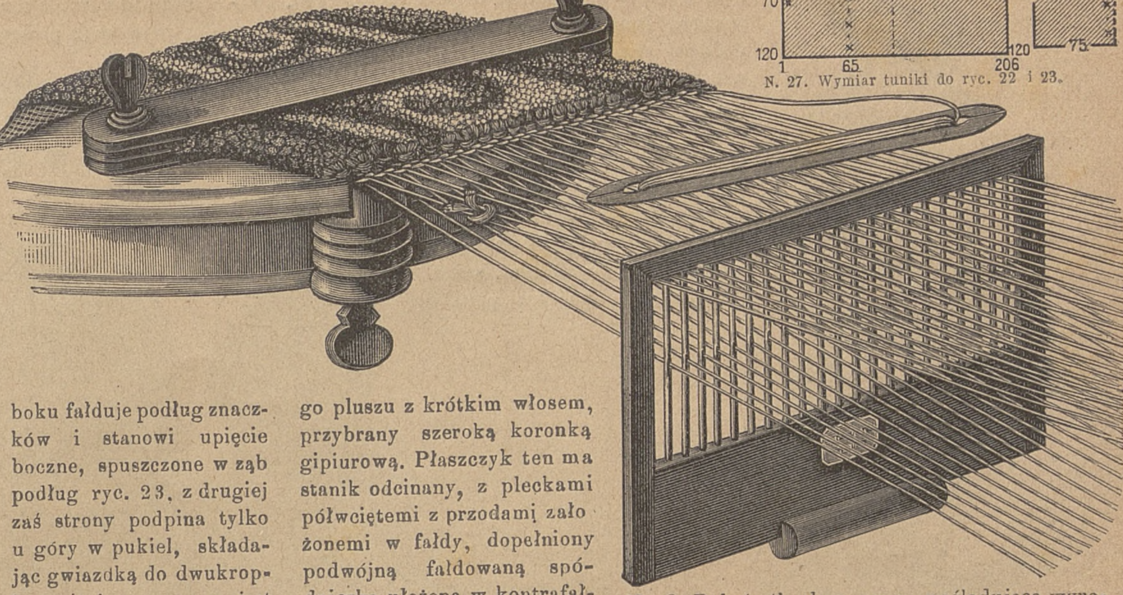
Ryc. 22 i 23 przedstawia przód i plecy sukni z czarnego wełnianego materyału, przybranej złotą pletnią. Spódnica ma u dołu zakładki oszyte złotem sznurem lub sutaszem. Na długą tunikową draperyę, potrzeba dwóch brytów, wymierzonych podług ryc. 27; litera *a* oznacza bryt większy, stanowiący upięcie przednie i boczne, środek przodu wskazuje linijka kropkowana. Górny brzeg składa się w głębokie fałdy i przyszywa do paska od sukni; z jednego boku fałduje podług znaczków i stanowi upięcie boczne, spuszczone w ząb podług ryc. 23, z drugiej zaś strony podpina tylko u góry w pukiel, składając gwiazdką do dwukropka, niżej spuszczony jest prosto do dołu i schodzi się z brytem tylnym, wymierzonym przez połowę na lit. *b*. Bryt tylny w górze zebrany w ścisłe fałdy, podpina się w środku i z prawego boku, z lewego zaś zachodzi na brzeg upięcia bocznego. Stanik krotki bawetowy ma kamizelkę, naszytą złotym sutaszem, 39 cent. długą, u góry 8 u dołu 1 i pół c. szeroką, dodaną zwierzchu stanika. Kołnierzyk stojący i mankiety naszyte pletnią.



N. 26, Lambrekina do ryc. 12 w N. 11.



N. 27. Wymiar tuniki do ryc. 22 i 23.



N. 29. Robota tkacka ręczna, naśladująca wyroby smyrneńskie. Patrz ryc. 30—34.

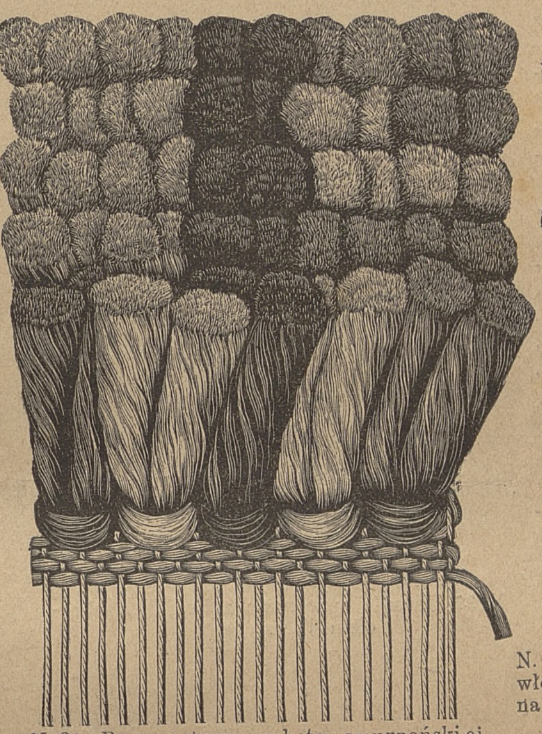
go pluszu z krótkim włosem, przybrany szeroką koronką gipiurową. Płaszczyk ten ma stanik odcinany, z pleckami półwciętemi z przodami założonemi w fałdy, dopełniony podwójną fałdowaną spódniczką ułożoną w kontrafałdy, której przyszycie zasłania wstążka ottoman, związana z przodu w kokardę. Pelerynka oszyta koronką przyszywa się w około wykroju szyi i garniruje riuszą z wstążki związanej pod szyją w kokardę. Kapotka z pluszu białego, suto podpięta wstążką.

N. 37 i 25. Ubranie spacerowe z krótkiem okryciem.

Okrycie z czarnego mat ryału w drobne prążki, oszyte 5 cent. szeroką frendzlą sznelową, zakończoną dużemi szlifowanemi perełkami. Na ryc. 25 daliśmy wymiar kroju, podług którego trzeba z bibułki dopasować formę i przymierzyć na osobie. Przody *a* zapinają się na kryte haftki; boki krają się w jednym ciągu ze zwierzchnią częścią rękawów, podług litery *b*,

N. 29—34. Dywanik. Naśladowanie wyrobów smyrneńskich. Robota tkacka na ręcznym warsztaciku, z zakładaniem ciętej włóczki.

Robotę tkacką na małym warsztaciku opisywaliśmy szczegółowo w roku 1883 i 1884, ponieważ u nas w kraju nie dostanie takich warsztacików i trzeba je sprowadzać z zagranicy, przez co nie są przystępne dla ogółu czytelniczek, nie powtarzamy więc szczegółów; zupełnie nie wystarczających do nauczenia się roboty tkackiej, lecz dla czytelniczek które miały sposobność nauczyć się za granicą, dajemy ryciny objaśniające jak zakładać krótkie nitki, cięte z grubej włóczki smyrneńskiej. Długie nitki podstawowe dane są z mocnego cienkiego sznureczka, do przerabiania służy bardzo gruba niebielona bawełna, którą przeprowadza się podług ryc. 29 cztery razy po każdym rzędzie włóczkowych nitek. Robiąc dywanik większych rozmiarów przygotowywa się kilka oddzielnych pasów, które następnie łączą się z sobą od lewej strony. Ryc. 33 przedstawia dywanik 100 c. długi, 40 c. szeroki, złożony z czterech pasów. Po skończeniu robotę pociąga się z lewej strony rzadko rozpuszczoną gummą.



N. 31. Prawa strona roboty smyrneńskiej tkanej ręcznie. Patrz ryc. 32 i 29.



N. 30. Założenie kawałka włóczki (7 cent. długiego) na sznureczki podstawowe, do ryc. 29.



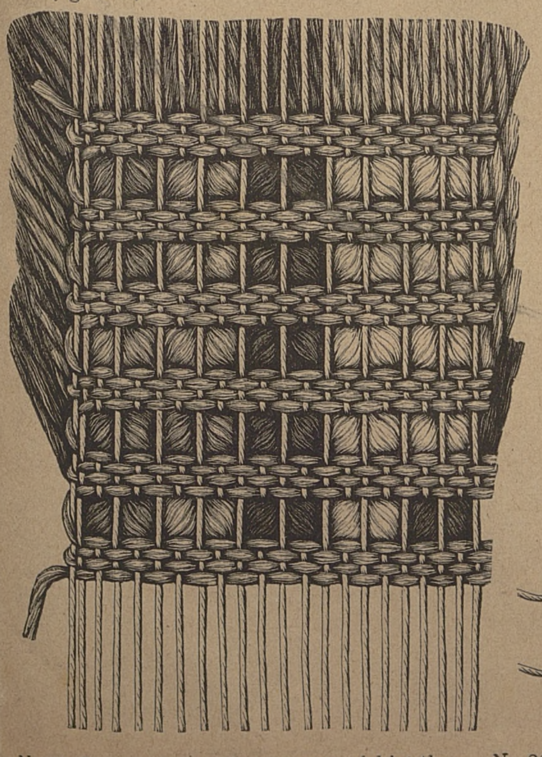
N. 33. Dywanik robotą smyrneńską, tkany ręcznie. Patrz ryc. 29—34.

N. 35. Sukieneczka wycięta dla małej dziewczynki.

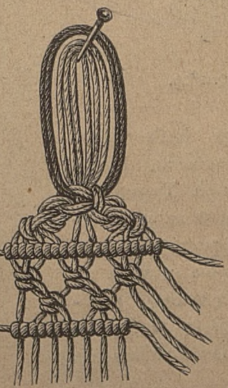
Odrobiona z białego wełnianego materyału, przybrana jest pluszem. Staniczek na gładko dopasowanej podszewce, wycięty kwadratowo, zapięty z tyłu na kryte guziczki, ma przody i plecy u góry na 2 cent. w pasie na 7 cent. szeroko przemarszczone, boczki naddane są trochę bufiasto. Spódniczkę zdobią trzy rzędy zakładek, danych w równych odstępach. Epoletki zastępujące rękawki; przybranie w kształcie szelek, na ramionach 8 cent. w pasie 4 cent szerokich i szarfa przypięta z tyłu, są z białego pluszu.

N. 36. Płaszczyk z pelerynką, dla małej dziewczynki.

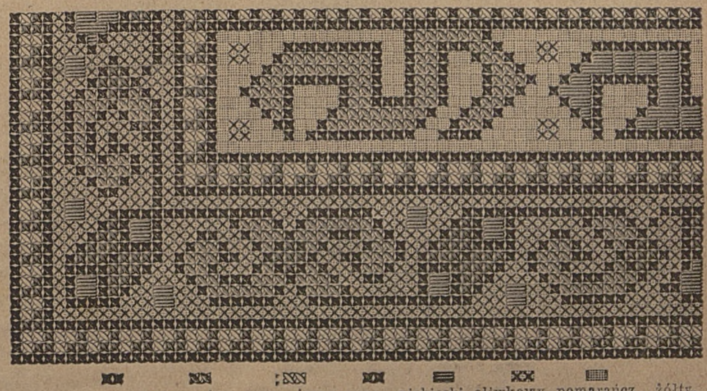
Uszyty z białego wełniane-



N. 32. Lewa strona roboty smyrneńskiej tkanej ręcznie. Patrz ryc. 29—33.



N. 28. Założenie nitek do roboty wiązanej do r. 11.



czarny, ciem. pons., jasny pons., niebieski, oliwkowy, pomarańcz., żółty.

N. 34. Deseń do ryc. 33.



N. 35. Sukieneczka wycięta dla dziewczynki.



N. 36. Płaszczyk z pelerynką.

mała spodnia część rękawa oddzielona jest kropkami i wymiarem na centymetry, plecy krają się podług litery c. Brzegi okrycia po zeszyciu, podszyte są listewką 8 cent. szeroką; wszystkie szwy podszyć trzeba skosikiem lub wstążeczką.

N. 38. Ubranie domowe.

Odrobione z bronzowego wełnianego materyału, przybrane ciemno zielonym pluszem i takąż materyą surah. Przód i boczne bryty sukni najpierw zaszywa się w cztery, po 20 cent. szerokie zakładki, poczem przedni bryt składa w cztery fałdy zwrócone do środka, po 7 cent. szerokie. Upięcie à paniers wymaga kawałka 45 cent. szerokiego, 110 długiego, który podług ryc. 38 składa się w środku w płaskie fałdy zwrócone do środka, z boków zaś daje podwójną kontrafałdę i podpina w bufę. Tylny bryt liczy 110 cent. długości, a 140 szerokości. Stanik z krótką okrągłą baskiną z przodu z tyłu ścięty bawetowo. Kamizelkę fałdowaną z materyi surah, otacza kołnierz szalowy z pluszu, z prawej strony zwężony u dołu i przedłużony aż do brzegu stanika i przypięty na baskinie dwoma stalowemi agrafkami. Kołnierzyk stojący i mankiety pluszowe, 7 c. szerokie.

N. 39. Wałek pod głowę.

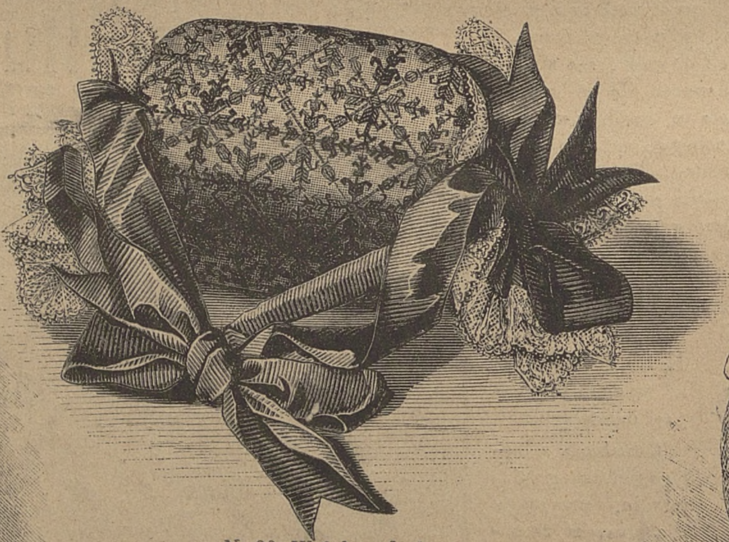
Liczy 48 cent. długości a 54 cent. obwodu i powleczony jest ponsowym atłasem, przysłoniętym żółtawym batystem haftowanym ściegiem gobelinowym, kolorowym jedwabiem. Deseń znajdą czytelniczki w poprzednich N-rach Tygodnika Mód. Boczne brzegi batystu wycięte są w zęby i oszyte 4 cent. szeroką koronką, następnie podszyte od spodu 6 cent. szeroką plisą atłasową i zmarszczone na sznureczek, w ten sposób iż zęby tworzą rozetę, z widocznem kolorowem podszyciem, przepiętą w środku kokardą z wstążki 6 cent. szerokiej. Do zawieszenia wałka służy wstążka 80 cent. długa.



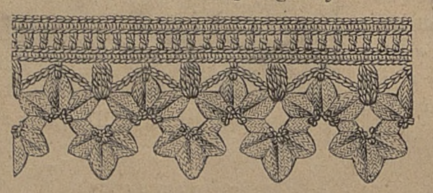
N. 37. Ubranie spacerowe z krótkiem okryciem. Patrz ryc. 25. N. 38. Ubranie domowe.



N. 41. Ubranie wizytowe z chusteczką.



N. 39. Wałek pod głowę.



N. 40. Ząbki szydełkowe z tasiemeczką.



N. 42. Ubranie wieczorowe.

N. 41. Ubranie wizytowe.

Każdą suknię wizytową z gładkim stanikiem, można przyozdobić upięciem chusteczkowym, podług ryc. 41. Model był z blado-niebieskiej materyi w ponsowe aksamitne muszki, z kołnierzem i kokardami z ponsowego pluszu. Na upięcie chusteczkowe potrzeba skośnego kawałka 115 cent. długiego, jednym końcem przypiętego na wcięciu stanu, dalej przeprowadzonego w około szyi pod kołnierzem, skrzyżowanego na piersiach i drugim końcem spuszczonego aż na biodro. Między dwoma kokardami dana koronka crême 15 cent. szeroka; złote sprzączki przypięte podług ryc. 41.

N. 42. Ubranie wieczorowe z gorsecikowym stanikiem.

Stanik bawetowy aksamitny, głęboko wycięty, ma z przodu rodzaj kamizelki marszczonej z materyi i z tiulu koronkowego zostawiając u góry nagłówki; rękawki koronkowe również podwleczone są materyą; zapięcie przodów dane z boku na kryte haftki. Spódnica z materyi tego samego koloru co kamizelka pokryta draperyą koronkową i takimże wolantem u dołu. Bukiety z róż przy sukni i przy staniku.



Pl. 605.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.